NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.
W Ameryce: Półrocznie 3 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.
Zmiana adresu kosztuje 40 hal.
Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).
Telefon Nr. 479.
Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.
Prenumeratę przyjmuje W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie: za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XIII. Kraków, 15 kwietnia 1916. Nr. 16.

„Żelazny rycerz“ we Lwowie.



Uroczystość odsłonięcia „rycerza w zbroi“ na Wałach Hetmańskich. (Fot. M. Münz, Lwów)

Treść numeru: Zgon namiestnika. — Kanclerz Rzeszy niemieckiej o Polsce. — Szósty pułk Legionów w polu. — Kobiety na wojnie. — Z ziemi męczenników chełmskich. — Wojna w Polsce. — Uroczystość polska w Szwajcaryi. — Sport w Legionach. — Z wojny i t. d.

„Żelazny rycerz“ we Lwowie.

We Lwowie odsłonięto na Wałach Hetmańskich posąg rycerza, który otrzyma żelazną zbroję z gwoździ, wbijanych na rzecz ofiar wojny. Uroczystość, o której pisaliśmy już w poprzednim numerze, była poważną, jak czas, w którym żyjemy, i podniosłą, jak nastrój ludności polskiej naszego kraju, wzbudzony pierwszymi strzałami wojny i utrzymujący się dotychczas na nieobniżonym poziomie. Nastrój to męstwa, ofiarności i nadziei w przyszłość.

W żadnym z krajów koronnych nie jest posąg żelaznego rycerza tak wymownym i tak realnym symbolem, jak w Galicyi. Nam bowiem przypadła w tej chwili dziejowej rola przedmurza monarchii, spełniona przez kraj nasz z energią i poświęceniem, o którem świadczą nie słowa, lecz strumienie krwi i zgliszcza siedzib. Ze oceniono to tam, dokąd zawsze zwracały się oczy Polaków, świadczy fakt, że na uroczystości lwowskiej reprezentował Monarchę w zastępstwie chorego namiestnika generała von Colarda, komendant Lwowa, generał Riml. On też wbił pierwszy gwóźdź w imieniu cesarza Franciszka Józefa I, akcentując w swej przemowie „patryotyzm i ofiarność mieszkańców królewskiego stołecznego miasta Lwowa, okazane w czasach tej wielkiej wojny światowej“.



„Żelazny rycerz“ we Lwowie: Jen. Riml i członkowie Komitetu przed figurą „rycerza w zbroi“ w czasie defilady. (Fot. M Münz, Lwów).

Z uroczystości tej zamieszczamy w dzisiejszym numerze szereg illustracyi.

Zgon namiestnika.

W sobotę dnia 8. kwietnia nadeszła z Białej wiadomość o śmierci namiestnika Galicyi, jen. Hermana Colarda. Zgon przyszedł prawie niespodziewanie, gdyż do ostatniej chwili urzędowe komunikaty mówiły o polepszeniu w stanie zdrowia namiestnika.

Jen. Colard powołany został na stanowisko administratora kraju w niezwykle trudnych stosunkach. Przez kraj nasz od Wieliczki do wschodnich krańców przeszła burza wojenna i spowodowała dotkliwe jego zniszczenie. Po wyparciu nieprzyjaciela, Galicya pozostała jednak nadal jeszcze pośrednim terenem wojennym i z tego też względu najwyższe czynniki postanowiły oddać administracyę Galicyi w ręce osobistości o wysokiej randze wojskowej, a wybór padł na jen. Colarda.

Nominacya generała Colarda namiestnikiem Galicyi poprzedzona została, jak wówczas doniosło c. k. Biuro korespondencyjne, posłuchaniem prezesa Koła polskiego, dra Bilińskiego, u cesarza w dniu 9 lipca. Dr. Biliński zjawił się na tej audyencyi na wyraźne życzenie cesarza, który oświadczył mu, iż w miejsce namiestnika ze stanu urzędniczego, namiestnikiem Galicyi mianowany zostanie generał, obeznany ze stosunkami, panującymi w kraju. — W dalszym ciągu posłuchania polecił cesarz drowi Bilińskiemu, aby z powodu tej zmiany osobistej podał do wiadomości sfer polskich, „że krok ten nie jest wyrazem zamiaru wprowadzenia rządów wojskowych w Galicyi, tylko ma być uważany za specyalne zarządzenie, spowodowane wypadkami wojennymi na terenie wojennym, że stosunek cesarza do Polaków pozostał niezmienionym, że istniejące urządzenia konstytucyjne i autonomiczne Galicyi, a nie mniej przysługujące Polakom prawa językowe, pozostaną bez zmiany“.



Zgon namiestnika: S. p. jen. Herman Colard.

Generał piechoty ś. p. Herman von Colard urodził się w Stanisławowie w roku 1857, uczęszczał tam do szkoły początkowej, następnie od roku 1865 do gimnazyum we Lwowie. Z okazyi utworzenia kolegium wojskowego w St. Poelten, Colard z wyższego gimnazyum we Lwowie przeszedł do tego wojskowego zakładu wychowawczego. Po ukończeniu tego kolegium, a następnie terezyańskiej Akademii wojskowej w Wiener Neustadt, mianowany został 1 września 1876 roku porucznikiem w pułku piechoty Nr 10 w Jarosławiu. Po czteroletniej służbie w wojsku w Jarosławiu i Przemyślu, przeszedł do szkoły wojennej w Wiedniu, a po jej ukończeniu przydzielony był do wyższych komend w Galicyi, jako oficer sztabu generalnego.

W szybkiem stosunkowo tempie przeszedł odtąd



„Żelazny rycerz“ we Lwowie: Reprezentant cesarza, komendant m. Lwowa, jen. Riml, wygłasza przemówienie na uroczystości odsłonięcia „rycerza w zbroi“. (Fot. M. Münz, Lwów).





Hydroplan i łódź podwodna w czasie spoczynku. **Z wojny:** Austryackie okręty w pościgu za nieprzyjacielem.



Z wojny: Odpoczynek kompanii 57 tarnowskiego p. p na południowym froncie

ś. p. Colard wszystkie stopnie karyery wojskowej, głównie obowiązki na swoich stanowiskach spełniając w Galicyi.

Jako dywizyoner w roku 1911 mianowany został komendantem Przemyśla. W listopadzie roku 1913 otrzymał tytuł i charakter generała piechoty, a w marcu 1914 roku nastąpiło powołanie go na stanowisko prezydenta Najwyższego Trybunału wojskowego. W sierpniu 1914 nastąpił jego awans na generała piechoty i równocześnie nadano mu godność tajnego radcy.

Przedwczesny i niespodziany zgon zaskoczył ś. p. generała Colarda na stanowisku namiestnika Galicyi, na którem spotkał się z doniosłemi i trudnemi zadaniami, wytworzonemi w kraju naszym przez wielką wojnę światową.

Kobiety na wojnie.

(Do illustracyi na str. 13).

Obecna wojna powołała pod broń nie tylko olbrzymie masy mężczyzn, ale postawiła w ogniu walki i tak zwaną „słabszą“ połowę rodzaju ludzkiego — kobiety. Zwłaszcza na ziemiach polskich cała ludność przeszła wszystkie okropności wojny, znosząc je z męstwem i stoicyzmem. A jeśli musimy złożyć hołd naszym dzielnym żołnierzom, którzy po bohatersku walczyli z wrogiem, to nie powinniśmy zapomnieć także o bohaterstwie kobiet, które, choć same bezbronne, znosiły tak samo wszystkie niebezpieczeństwa wojny. Gdy padały w gruzy zdobywane wsie i miasta — one, choć nie walczyły, niosły w ofierze swe życie — broniąc w ogniu walki rodzinnej ziemi i swych rodzin! Ale wśród tych ofiar obowiązku nie brak kobiet, które dobrowolnie szły z poświęceniem nieść ulgę walczącym. Do ich liczby należała uczenica krakowskiej żeńskiej Szkoły handlowej, Genowefa Cerefinówna z Brzostka, która, zmuszona wybuchem wojny do chwilowego przerwania nauki, przepędziła rok cały w domu rodziców.

W czasie bitwy, toczącej się w roku zeszłym pod Brzostkiem, wśród gradu kul podawała naszym dzielnym, acz znużonym żołnierzom, idącym do ataku, mleko i wodę, wreszcie zajęła się rannymi, opatrując ich i umieszczając, z narażeniem własnego życia, w bezpiecznem miejscu.

W uznaniu tych bohaterskich czynów przedstawiła komenda armii p. Cerefinównę, która tymczasem do szkoły wróciła, do najwyższego odznaczenia.

Cesarz nadał jej niebawem złoty krzyż zasługi na wstędze medalu waleczności, a w tych dniach odbyła się uroczystość wręczenia jej tej dekoracyi.

W lokalu żeńskiej Szkoły handlowej zebrały się koleżanki i krewni odznaczonej uczenicy, jak również przybyło całe grono profesorów Akademii handlowej z dyrektorem na czele.

Po dłuższem przemówieniu, w którem mieściły się także i ustępy z pamiętnika p. Cerefinówny, wręczył jej dyrektor złoty krzyż zasługi.



Szósty pułk Legionów w polu: Cmentarz na pozycyi.



Z wojny: Okręty austryackie, patrolujące u włoskich wybrzeży.

Kanclerz Rzeszy niemieckiej o Polsce.

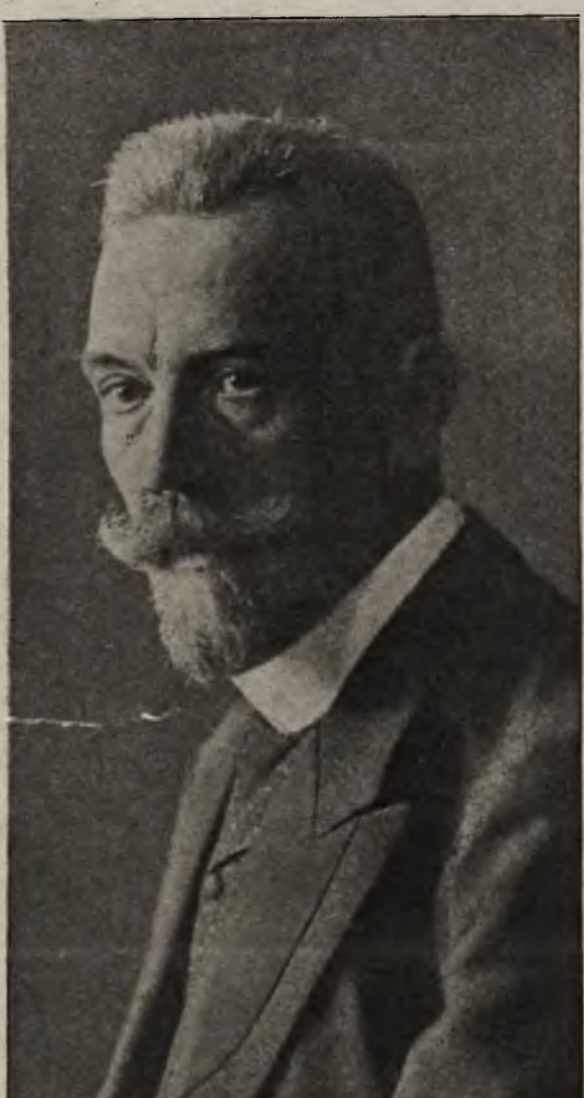
Mowa Bethmanna-Hollwega w parlamencie niemieckim była niewątpliwie najdonioślejszem wyda-



Z wojny: Okręty austryackie ostrzeliwują wyspę Pelagozę, obsadzoną na początku wojny przez wojska włoskie.

rzeniem politycznem ostatnich dni. Kanclerz Rzeszy niemieckiej, choć niejednokrotnie zabierał już głos, po raz pierwszy jednak przemówił tak wyraźnie we wszystkich problematach politycznych, jakie wytworzyła ta największa w dziejach wojna. Po raz pierwszy też Bethmann Hollweg poruszył sprawę polską, dotychczas tak starannie ukrywaną przez polityków i dyplomatów europejskich. Dlatego też i dla nas, Polaków, mowa ta ma bardzo doniosłe znaczenie. W sprawie tej kanclerz Rzeszy powiedział:

„Niemcy i Austro-Węgry nie miały zamiaru wy-



Kanclerz Rzeszy niemieckiej o Polsce Bethmann Hollweg.

taczać sprawy polskiej. Los bitew jednak wyciągnął ją na światło dzienne, a obecnie czeka ona na swoje rozwiązanie. Rozwiążą ją Niemcy i Austro-Węgry. Po takich dziejowych wstrząśnieniach nie może być mowy o *status quo*. Belgia powstanie nowa po wojnie, Polska, którą opuś ili rosyjski czynownik, wyciskając z niej jeszcze pospiesznie okup i kozak rosyjski, paląc ją i rabując, owa Polska nie istnieje już więcej. Nawet członkowie Dumy otwarcie oświadczyli, że nie mogą sobie wyobrazić, by na miejsce, na którem pracował przedtem uczciwie dla dobra swego nieszczęśliwego kraju Niemiec, Austryak i Polak mógł jeszcze wrócić rosyjski czynownik. Również pan Asquith mówi przecie o zasadach narodowościowych. Jeśli on to czyni, jeśli postawi się w położenie niepokonanego i nie mogącego być zwyciężonym przeciwnika, czyż może przypuścić, że Niemcy ocalone przez nich i ich sprzymierzeńców ludy między morzem Bałtyckiem a bagnami wołyńskiemi oddałyby dobrowolnie pod panowanie reakcyjnej Rosyi? Wszystko jedno. niech to będą Polacy, Litwini, szczepy nadbałtyckie lub Łotysze! Nie, moi panowie, poraz drugi nie śmie Rosya nakazać marszu swoim wojskom na nieobronną granicę Wschodnich i Zachodnich Prus, nie śmie przy pomocy pieniędzy francuskich czynić sobie z krajów nadwiślańskich bramy do najazdu na bezbronne Niemcy!“

Kanclerz Rzeszy stwierdził więc z trybuny parlamentarnej, że wypadki wojenne wbrew woli państw centralnych wysunęły sprawę polską i że ją rozstrzygną Niemcy i Austro-Węgry... W jaki sposób nastąpi to rozstrzygnięcie, tego Bethmann Hollweg jeszcze nie powiedział — ale już samo postawienie tej sprawy przez przedstawiciela państwa niemieckiego na widowni politycznej stanowi niewątpliwie fakt doniosły i pewien postęp w ocenie znaczenia Polski dla trwałości pokoju europejskiego.



Z wojny: Schronisko oficerów pierwszej dywizyi ciężkich haubic na pozycyi.



Z wojny: Budowa szańców w lesie.

ADAM WIARYGA-MINIEWSKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

2

— Ta? a to mecenasowa S. ze Lwowa. Czy ładna?... Nie powiedziałbym tego, a ubrana trochę wyzywająco... Kobieta dystyngowana, prawdziwa dama, ubiera się wytwornie, ale bez przesady, bez wyjaskrawiania szczegółów... Pani dobrodziejka posiada właśnie ten „bon ton".

Pochlebstwo wywołało żywy rumieniec na twarzy pani Krystyny. Chcąc zatrzeć zbyt silne wrażenie, przerwała znowu pytaniem:

— A ten przystojny blondyn, który koło niej siedzi, czy to może mąż jej?

Potyrowski uśmiechnął się znacząco i, pochylając się ku pani Krystynie, mówił półszeptem:

— Nie, pani dobrodziejko, to nie mąż — to jej kuzynek. Mąż jest także w Pradze, ale nikt go jeszcze z żoną nie widział... Pani w kawiarni z kuzynkiem, w teatrze z kuzynkiem, na spacerze z kuzynkiem, na wycieczce z kuzynkiem i tak ciągle. Mąż to wielki filantrop. zajmuje się sam rozmaitymi biedakami... To podobno bardzo rozumny człowiek, no i wyrozumiały, nieprawdaż?...

Pani Krystyna spojrzała z niepokojem na swoją siostrzenicę. Zaciekawiona opowiadaniem zapóźno spostrzegła się, że tego rodzaju historyjka niebardzo nadaje się do rozmowy w towarzystwie tak młodej panny.

Z zadowoleniem stwierdziła więc. że Anielka nie zwróciła uwagi na treść opowiadania Potyrowskiego, zdawała się nawet nie zwracać uwagi na towarzystwo. Była zadumana i smutna.

Koncewicz starał się usilnie zająć ją i zabawić swoją rozmową — ale napróżno. Podejmował wciąż nowe tematy, ale rozmowa nie kleiła się. Panna odpowiadała krótko, nie zadając zgoła żadnych pytań.

Wątek rozmowy rwał się co chwila i młodzieniec był bezradny.

Rozumiał, że powinien pannę bawić, ale jak, czem, nie wiedział.

Z pogodą szło kulawo, z tualetami pań obecnych na sali jeszcze gorzej, bo Anielka nie okazywała żadnego zainteresowania strojami, na komplementy zaś odpowiadała grzecznie, ale krótko i sucho. Milczała.

Nareszcie młodzieniec wpadł na doskonały temat, jak sam sobie przyznał w duchu. Zaczął opowiadać o ostatniej sensacyi kinematograficznej, którą już trzy razy oglądał w „Bio kornna".

Były to nadzwyczajne przygody (o długości kilku tysięcy metrów) „Jeźdźca w pampasach".

Koncewicz opowiadał z zapałem, jakby to były jego własne przeżycia. Właśnie doszedł do krytycznej chwili: „Jeździec skoczył do rzeki! Utonął, czy nie utonął? Nie! Wypłynął na karku Indyanina. Na brzegu rzucił się czerwnoskóry na jeźdźca, wydobył z za pasa długi nóż, chwycił go w zęby i rozkrzyżował swoją ofiarę"...

Anemiczny młodzieniec aż zarumienił się ze wzruszenia i spojrzał na pannę, ciekawy, jakie wrażenie wywarło na nią opowiadanie. Był pewny, że zobaczy w jej błękitnych oczach łzy.

Spojrzał i zobaczył, jak Anielka z uprzejmym uśmiechem pochyliła wdzięcznie główkę, odpowiadając na ukłon nowego gościa, który wszedł do sali.

Był to młodzieniec wysoki, smukły, jak topola, z rysami twarzy jak wyrzeźbionymi, z bujną jasnoblond czupryną i niebieskiemi, śmiało i otwarcie spoglądającemi oczami, — mógł uchodzić za typ polskiej piękności męskiej.

Cerę twarzy miał nieco smagłą, ciemniejszą prawie od jasnych włosów — jakby spaloną od wichrów, czy słońca.

Pani Krystyna spojrzała uważnie w kierunku przybysza, który postawą i junackim wyglądem przypominał jej stare, rodzinne portrety. Mimowolnie wyobraziła sobie, jakby to pięknie wyglądał ten młodzian w kontuszu, rysim kołpaku z czaplem piórem lub skrzydłami husarskiemi u ramion.

— Kto to, Anielko? — zapytała — Twarz znajoma mi wprawdzie, ale nie mogę sobie przypomnieć...

— Jakto, nie pamięta ciocia? To ten pan, który był tak grzeczny, że dopomógł nam szukać mieszkania, kiedy przyjechałyśmy do Pragi i błąkałyśmy się, nie wiedząc, gdzie się obrócić.

— Aha! Prawda... Przypominam sobie. Przedstawił się nam przecież, nazywa się tak jakoś z litewska...

— Montwiłł, ciociu... Prawda, że przystojny i bardzo sympatyczny?

Zainteresowanie się pani Wolskiej nowoprzybyłym młodzieńcem nie bardzo podobało się panu Potyrowskiemu, a Koncewicza znowu ubodły mocno słowa Anielki — obydwaj więc rozpoczęli na prześcigi doszukiwać się wad i przywar w młodzieńcu. Potyrowski, siląc się na obojętny ton, mówił:

— Doprawdy, wyznam szczerze, że nie rozumiem, co właściwie panie tak szczególnego widzą w tym panu... Rysy wprawdzie niby dość regularne, ale twarz pospolita, bez wyrazu... A ta mina sztucznie zawadyacka — a te ruchy jakieś niezgrabne, rubaszne! Na pierwszy rzut oka można poznać, że to człowiek bez „savoir vivre'u".

— To nikt z naszych — wtrącił Koncewicz — to jakiś Królewiak!

— A jak on ubrany! — oburzał się Potyrowski. — Nie pojmuję, jak dobrze wychowany człowiek może przyjść w szarej marynarce wieczorem do kawiarni.

No, tutaj na wychodźstwie nie obowiązują tak ściśle formy... — broniła pani Krystyna, stropiona nieco tym zgodnym atakiem.

Anielka nie odpowiedziała nic, obrzuciła tylko obu panów wymownem, drwiącem spojrzeniem.

Potyrowski, jakby przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo w pięknym młodzieńcu, ciągnął dalej podniecony:

— Zaraz poznać, że to człowiek nie z naszego towarzystwa — zaczął znowu. — Proszę, niech pani popatrzą na te dwie panny, z któremi się teraz wita... Jak one wyglądają, jak to ubrane!... To chyba z jakiejś niższej sfery...

Anielka spojrzała we wskazanym kierunku i nagle oczy jej zapłonęły radością.

— Ciociu! zawołała — to panny Staszyńskie, nauczycielki z Zagórzan! Ciocia ich nie zna, ale ja znam je dobrze! Ile razy byłam w Zagórzanach, zawsze je odwiedzałam! Z młodszą, Hanką, zaprzyjaźniłyśmy się serdecznie!... Ciociu, wszak ciocia mi pozwoli podejść do nich i przywitać się...

— Ależ, moja Anielko, doprawdy nie wiem, czy to wypada... — mówiła zmieszana pani Krystyna, sama nie wiedząc: pozwolić, czy nie pozwolić, ze względu na tak ujemny sąd Potyrowskiego o pannach Staszyńskich.

Anielka powtórzyła swoją prośbę, błagalnie spoglądając na ciotkę:

— Ciociu najdroższa! — prosiła — ciotuniu, nie broń mi... Ja się tak cieszę, że je spotykam... Myśmy się bardzo lubiły!

— No, dobrze moje dziecko, idź już, jeżeli sobie życzysz koniecznie, ale przyjdź niedługo...

Pani Krystyna nie dokończyła jeszcze, kiedy już Anielka zerwała się i zręcznie, jak sarenka w leśnym gąszczu, przemknęła przez stłoczone stoliki. Ścigały ją uważne i krytyczne spojrzenia pań i panien, a równocześnie zaciekawione i pełne zachwytu spojrzenia młodzieńców.

Uroda Anielki, jej kształtna, gibka postać zwracała ogólną uwagę. Kilka osób szepnęło dość głośno: „Sliczna panienka".

— Anielka!

— Hanka! Stasia! Jak się macie! Jakże się cieszę, że was widzę!

Powitanie było radosne, dziesiątki wykrzykników, zapytań krzyżowały się.

Anielka usiadła przy stoliku i żywa rozmowa, zaczepiająca co chwila o strony rodzinne, niedawne wypadki i wspólne wspomnienia, potoczyła się wartko.

Siostry Staszyńskie przedstawiały dwa odrębne, ciekawe typy. Młodsza o kilka lat Hanka robiła wrażenie o wiele starszej od siostry.

Ciemne jej oczy spoglądały poważnie i smutno, czoło przerzynała zmarszczka, w rysach twarzy przebijał bolesny wyraz, na ustach jej pojawiał się tylko rzadko blady uśmiech.

Starsza, Stasia, słoneczna blondynka, biała i różowa, gadatliwa i wiecznie śmiejąca się, wyglądała bardzo młodo. Nawet panny, z któremi zaznajamiała się, nie chciały wierzyć, że liczy już dwadzieścia pięć lat, a panowie szli o zakład, że młodszą jest od siostry o lat kilka.

— Czy jesteście tutaj z mamą? — pytała Anielka.

— Ach! Niestety, nie! — westchnęła smutnie Hanka — i nawet nie wiemy, gdzie się mama teraz znajduje... Wyjechałyśmy tak prędko i niespodzianie, że nie było czasu porozumieć się! Teraz dowiadujemy się wszędzie, dajemy ogłoszenia do dzienników, ale, jak dotychczas, wszystko bez skutku.

— Nie martwcie się — pocieszała Anielka — mama napewno wyjechała, tylko prawdopodobnie skierowała się do Wiednia. Prędzej, czy później, odnajdziecie się...

— I ja tak myślę — wtrąciła Stasia — codziennie powtarzam to Hance, bo ona się zamartwia i zdrowie sobie niszczy... Mama przecież nie dziecko i da sobie radę.

— Żeby tylko była zdrowa...

— No, a co porabiacie w Pradze? – zapytała Anielka, chcąc zmienić temat rozmowy.

— Hanka lata przez cały dzień po rozmaitych kursach i wykładach. Zapisała się na kursy pszczelarskie, ogrodnicze, sztucznych kwiatów, modniarstwa i czegoś tam jeszcze...

— Ależ, moja Stasiu, nie przesadzaj — uśmiechała się Hanka.

— Wcale nie przesadzam! Ja zaś, moja Anielko, nie pochłaniam tak żarłocznie wszelakich kursów, uczę się tylko ogrodnictwa — a zato zwiedzam Pragę, włóczę się po muzeach, kościołach, chodzę czasem do teatru lub na koncert, o ile pozwoli na to szczupła kasa nauczycielska... Ale nie myśl, że znowu cały czas zużytkowuję egoistycznie. Prowadzę także fröblowską bezpłatną szkółkę dla dzieci wychodźców, bo, jak wiesz, za takimi małymi bobakami przepadałam zawsze.

Anielka zadumała się. Po chwili zaczęła smutno i jakby nieśmiało:

— To wy obie pożytecznie i zajmująco czas spędzacie, gdy tymczasem ja...

— No, tobie chyba rozrywek nie braknie.

— To też właśnie, rozrywek, do których niebardzo jestem usposobiona, mam aż nadto, a żadnego pożytecznego zajęcia...

— Ależ, Anielko! — przerwała żywo Hanka — o zajęcie jest tutaj nietrudno, jeżeli ktoś jest tak szczęśliwy, że ma czas wolny i zabezpieczone utrzymanie. Jest tyle pracy, tylu rąk potrzeba... Nie masz pojęcia, wiele rzeczy jest do zrobienia pośród naszych biednych wychodźców...

— Ach! Ja się rwę do takiej pracy, tylko nie umiem jej znaleźć! Proszę was, pokażcie mi drogę!

— Czy tylko ciotka twoja pozwoli?

— Ach! Ciocia jest taka dobra, tak mnie kocha i szczerze współczuje każdej biedzie, każdemu nieszczęściu... Już ja ją uproszę, tylko bądźcie mojemi przewodniczkami.

— Z chęcią, moja droga.

Rozmowa urwała się nagle i dłuższą chwilę panowało milczenie. Hanka i Anielka zadumały się, każda z nich wybiegła myślą do swoich trosk i wspomnień, a Stasia, zsunąwszy lekko brwi, szukała kogoś niecierpliwie oczyma po sali.

— Haniu! — przerwała milczenie Anielka przyciszonym, drżącym głosem — Czy nie wiesz, co się dzieje z... panem Kazimierzem? Może masz jakie wiadomości o nim od twego brata, Henryka... Wszak oni żyli w przyjaźni...

— Ach! Nie Anielko, nie wiem nic o nim... Henryk służy w artyleryi, a pan Kazimierz, o ile sobie przypominam, w piechocie. W każdym razie napiszę zaraz do Henryka z zapytaniem o niego, może korespondują ze sobą.

— Ach! Najdroższa, dziękuję ci!... Jakaś ty dobra... Gdybyś ty wiedziała, jakie złe przeczucia mnie dręczą... Od czasu wyjazdu z Zalesinek nie mam żadnej, żadnej wiadomości... A cóż Henryk, czy zdrów?

— Zdrów zupełnie, pisze nawet, że nigdy w domu nie czuł się tak zdrowym i rześkim, jak teraz w polu...

W tej chwili różowa twarz Stasi zapłonęła tak żywym rumieńcem, że nawet małe uszka, wyglądające ciekawie z pośród gęstwiny złotych loczków, pokraśniały.

Do stolika zbliżył się Montwiłł.

— Pan Montwiłł — kolega uniwersytecki Henryka — panna Zurakowska — przedstawiała Hanka.

— Ależ, my się znamy — rzekła Anielka, wyciągając do Montwiłła rękę.

Młodzieniec złożył głęboki ukłon.

— W istocie, miałem już przyjemność poznania pani i szanownej cioci... Czy panie pozwolą się przysiąść?

— O ile pan wywalczy sobie jakie krzesło, na którem by pan mógł usiąść — odpowiedziała z uśmiechem Hanka.

Stasia, wbrew zwyczajowi swemu, nie mówiła nic, obejmowała tylko rozjaśnionem spojrzeniem swoich lazurowych oczu dorodną postać młodzieńca.

Montwiłł zdobył jakieś wolne krzesło, usiadł i zwrócił się do Anielki:

— Przez te kilka tygodni nadaremnie upatrywałem pani... Od czasu naszego jedynego spotkania widzę dzisiaj panie po raz pierwszy.

— My prawie codzień bywamy „Pod Łabędziem".

— Ach! Tak, tylko że „Pod Łabędziem", to ja jestem gościem dosyć rzadkim... Trochę za drogi na

moją emigrancką kieszeń, a zresztą nie lubię tej atmosfery, jaka tutaj panuje.

— I mnie ona nie zachwyca bynajmniej — odpowiedziała Anielka.

— Byłem tego pewny. Dość spojrzeć na panią, aby się zapewnić, że nie gustuje pani w tem towarzystwie. Nie stara się też pani do niego zastosować, widocznie należy pani do tych istot, które nie idą niewolniczo za prądem próżności i blagi...

Anielka zmieszała się. Podziałały na nią silnie nie tyle pochlebne słowa Montwiłła, ile bystre, sypiące skrami spojrzenie pięknego młodzieńca. Na twarz jej wystąpił lekki rumieniec.

Zmieszana, rzekła krótko i pospiesznie:

— Przecenia mnie pan prawdopodobnie, łatwo się omylić przy tak krótkiej znajomości.

— Pierwsze wrażenie bywa najistotniejszem...

Rozjaśnione spojrzenie Montwiłła, rumieniec Anielki nie uszły uwagi Hanki i Stasi. Obie spojrzały równocześnie na swoją towarzyszkę. Po bladej, poważnej twarzy Hanki przesunął się cień niezadowolenia. Brwi Stasi drgnęły kilka razy, a drobne ząbki wpiły się w różowe wargi.

Zmieniła się nagle. Stasia, zwykle wesoła i rozmowna, straciła humor, spochmurniała. Po krótkiej chwili milczenia zwróciła uwagę siostrze, że jest już późno i trzeba wracać do domu.

Mówiła spokojnie swoim dźwięcznym, melodyjnym głosem, który jednak w tej chwili drżał zlekka.

Anielka ani Montwiłł nie zwrócili na to uwagi, ale Hanka odczuła zmianę w głosie siostry i spojrzała na nią uważnie. W spojrzeniu jej malowało się jakby zdumienie i zaniepokojenie.

Kiedy panny Staszyńskie ubierały się do wyjścia, Montwiłł, zwracając się do starszej siostry, zapytał, czy wolno im towarzyszyć. Oczy Stasi rozjaśnił błysk radości i bez wahania dała przyzwalającą odpowiedź.

— Cieszę się, bardzo cieszę, że będziemy odtąd widywały się często — mówiła Anielka, ściskając serdecznie ręce obu sióstr — tak mi było miło spędzić chwilkę z wami... Ciocia moja znalazła sobie towarzystwo, które mnie wcale nie odpowiada.

— Któż to taki? — zapytała Stasia, rzucając ciekawe spojrzenie w kierunku stolika pani Krystyny.

— Jeden, to syn dawnego znajomego cioci — Witold Koncewicz, słuchacz agronomii — nawiasem mówiąc, wątpię, czy był kiedy na wsi dłużej, niż przez dni kilka, a na uprawie roli tyle się rozumie, ile ja na chińszczyźnie...

— Ale tytuł agronoma jest popularnym w kołach złotej młodzieży... — zauważył z uśmiechem Montwiłł.

— Ten też zapewne wzgląd kierował panem Koncewiczem w wyborze studyów... Krótko mówiąc, jest płytki, głupi i nudny... Wyobraźcie sobie, moi państwo, że usiłował mnie bawić przez pół godziny opowiadaniem jakiegoś kinematograficznego dramatu. I opowiadał to z takim zapałem, że omal nie płakał przy tem... Taki był wtedy śmieszny, że gryzłam wargi, aby nie wybuchnąć głośno śmiechem...

— A ten drugi pan ze szpiczastą bródką — pytała rozweselona Stasia — czy równie zajmujący i zabawny?

— Ten drugi... — Anielka zawahała się. — Nie można go nazwać nudnym — przeciwnie, umie mówić gładko, żywo, zajmująco, nawet dowcipnie, ale ja czuję do niego antypatyę... Coś mnie od tego człowieka odpycha poprostu.

— Jak się nazywa?

— Potyrowski. Przedstawił się nam jako inżynier. Pochodzi ze wschodniej Galicyi.

— Potyrowski... Potyrowski... — powtórzył Montwiłł. — Tak, słyszałem już nieraz to nazwisko w Pradze... Ten pan odgrywa rolę filantropa... Opiekuje się podobno jakiemiś biednemi rodzinami wychodźczemi, zbiera na nie datki, które później sam wedle swego uznania rozdziela...

— Nie sądzę, aby taki system składania datków w prywatne ręce do dowolnego rozporządzenia był skuteczny... Przytem może budzić pewne wątpliwości, bo i jakaż tu kontrola? — zauważyła Hanka.

— Jestem tego samego zdania...

Montwiłł chciał mówić coś jeszcze, ale przerwała mu Stasia:

— Nie zaczynajcie tylko na ten temat dyskusyi. O panu Potyrowskim i jego filantropijnej działalności możemy porozmawiać jeszcze gdzieindziej i kiedyindziej, a mnie się teraz doprawdy spieszy... No pa! Anielko, uciekamy...

Na pożegnanie szepnęła jeszcze Anielka do ucha Hance:

— Haniu, nie zapomnij, żeś obiecała napisać do Henryka i zapytać się o pana Kazimierza.

Hanka skinęła głową.

Montwiłł, idąc za pannnami Staszyńskiemi, odwrócił jeszcze raz głowę i pogonił wzrokiem za kształtną postacią Anielki. I to nie uszło uwagi Stasi.

— — — — — — — — — — —

Kiedy Anielka powróciła do stolika ciotki i zajęła dawne swoje miejsce, Potyrowski kończył właśnie opowiadanie o biedzie jakiejś rodziny wychodźczej:

— Pani dobrodziejka wyobrazić sobie nawet nie może, jaka tam nędza panuje... Najmłodsze dziecko chore — gorączkuje... Matka również osłabiona, wyczerpana... Inne dzieci płaczą, tuląc się po kątach, bo im zimno... Trzeba im lepszego pożywienia, ciepłego ubrania, lekarstw, opału, a skąd wziąć na to? Mnie się serce poprostu kraje, kiedy na to patrzę... Robię, co mogę, pomagam, o ile tylko moje środki na to pozwalają... Wynająłem im mieszkanie, płacę lekarza, kupuję lekarstwa... Robiłbym więcej, ale, niestety, nie mogę... Dochody moje z powodu wojny uszczupliły się znacznie, bardzo znacznie... Lokacye kapitałów nie procentują się, posiadłość moja nawiedzona przez inwazyę rosyjską, w przemyśle zastój — dla nas inżynierów niema teraz pola do pracy... Ale ja się nie skarżę, o nie, chętnie znosiłbym wszystkie braki, bylem tylko mógł dopomagać biedniejszym...

Mówił z takiem przejęciem, tak plastycznie malował cierpienia biedaków, że w oczach wrażliwej pani Krystyny ukazały się łzy. Jej dobre, złote — jak mówiła Anielka — serce nakazywało jej uczynić coś natychmiast dla tych biednych, więc pospiesznie sięgnęła ręką po torebkę ręczną, przewieszoną na poręczy krzesła i wyjęła z niej banknot.

Wręczając go Potyrowskiemu, mówiła, usprawiedliwiając się:

— Nie mam więcej przy sobie, ale na razie niech pan zechce wziąć choćby tę drobnostkę i kupić za nią tym biedakom choć trochę pożywienia i węgli... Takbym chciała ulżyć ich doli...

Potyrowski skłonił się głęboko.

— W imieniu moich biednych uchodźców staropolskie „Bóg zapłać!" za ten datek...

Pani Krystyna zwróciła się do siostrzenicy:

— Chyba i ty, Anielko, dołożysz coś ze swoich kapitałów „kieszonkowych".

— Nie, ciociu! — odpowiedziała spokojnie panna. Ciotka spojrzała na nią zdumiona.

— Jakto, Anielko, ty, która zawsze przejmujesz się tak głęboko każdą biedą, każdem nieszczęściem ludzkiem, dzisiaj żałujesz kilku koron dla biedaków?!

— Ależ, ciociu! — tłumaczyła się Anielka — ciocia mnie źle zrozumiała... Ja przecież nie żałuję, tylko...

Urwała, zawahała się... Nie chciała wyjawić wprost swojej myśli, więc rzekła wymijająco:

— Panny Staszyńskie mówiły, że organizuje się ochronka dla biednych dzieci, chciałabym więc tam dołożyć kilka swoich koron, bo ciocia wie, jak lubię te maleństwa... A zresztą uważam, że dawanie jałmużny poszczególnym osobom jest bezcelowe... Biedy wśród wychodźców jest tak wiele, jak mówiły panny Staszyńskie, a pomódz może jej tylko zorganizowana samopomoc...

— Ty zawsze rezonujesz niepotrzebnie, Anielko — przerwała z niezadowoleniem pani Krystyna.

W połyskliwych, zielonkawych oczach pana Potyrowskiego zamigotały jakieś złe błyski. Usta jego zadrgały nerwowo i pojawił się na nich złośliwy uśmiech.

Spojrzał bystro na pannę, jakby chciał odgadnąć jej myśl, a zwracając się następnie do pani Wolskiej, rzekł:

— To nieszkodliwe, pani dobrodziejko. W młodych główkach każda piękna myśl urasta do wielkości czynu, piękne rozumowanie zastępuje działanie... Panna Aniela pozwoli sobie jednak przypomnieć: „nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje" — powiedział nasz wielki poeta. Nim samopomoc zorganizuje się, biedacy pomrą z głodu.

Twarz Anielki oblała się rumieńcem, słowa Potyrowskiego dotknęły ją żywo. Chciała coś odpowiedzieć, ale ciotka spojrzała na nią wymownie, więc zacięła usta i rzuciła tylko Potyrowskiemu śmiałe spojrzenie, w którem mógł wyczytać otwartą niechęć.

Chwilę zapanowało przykre milczenie. Każdy miał w skrytości myśl własną. W towarzystwie zaczęło się coś psuć.

Z rozmowy tej był zadowolony tylko Koncewicz. Z właściwą sobie powolnością sięgał dłonią do kieszeni po portmonetkę, aby za przykładem pani Wolskiej dać coś dla biednych, kiedy w samą porę dla niego Anielka wyjawiła swe zdanie.

Zatrzymał więc rękę w kieszeni i oświadczył:

— Jestem zupełnie tego samego zdania, co panna Aniela.

Sytuacya stawała się trochę kłopotliwą, to też pani Krystyna pospieszyła zmienić temat rozmowy, która jednakowoż nie kleiła się już.

Potyrowski stracił zwykłą swoją werwę i zesztywniał. Anielka siedziała milcząco. Sala kawiarni zaczęła się opróżniać — wkrótce więc dała pani Krystyna hasło do odejścia.

— — — — — — — — — — —

Sina, gęsta mgła otulała ulice Pragi. Kontury domów majaczały widmowo. W mleczno-siną topiel mgły buchały co chwila jaskrawe łuny światła z otwierających się i zamykających drzwi kawiarni i piwiarni. Z wnętrza zadymionych sal przedzierały się krzyki, wesołe śpiewy, szczęk kufli i dźwięki orkiestr, rzempolących popularne, ograne melodye.

Pani Wolska i Anielka wracały do domu w towarzystwie Potyrowskiego, który uważał za swój obowiązek odprowadzić panie i głośno wyrażał swoją radość z tak mile spędzonych chwil.

Koncewicz pożegnał się skwapliwie na ulicy z towarzystwem pod pozorem, że przed dziesiątą godziną musi być w domu i szybkim krokiem skierował się ku ulicy Wodiczkowej, gdzie przy narożnym słupie do przylepiania ogłoszeń zatrzymała się grupka młokosów.

Naradzano się, gdzieby jeszcze pójść.

— No, panowie, decydujmy się! — zawołał jeden — bo zimno! Witek, gdzie idziemy?

— Mnie tam wszystko jedno! Gdzie chcecie, to prowadźcie, byle do jakiego wesołego lokalu, bom się dzisiaj sfatygował i znudził — odparł Koncewicz.

— Czemże to?

— A bawieniem panny!

— Zmiłuj się, Witek, taka ładna panna! Zazdrościliśmy ci wszyscy „Pod Łabędziem".

— No, że ładna, to prawda, ale do bawienia to dyablo trudna. Komplementuję — ona nic, opowiadam najlepsze kawałki z „Bio", a na niej to nie robi żadnego wrażenia!... Poprostu nie wiadomo, czem ją zająć!

— To pocóż jej asystujesz tak usilnie?

— Mój drogi, to posażna panna! Mój tacio zna te panie oddawna i pisał mi umyślnie z Wiednia, żebym się poznał z panią Wolską i starał się podobać jej siostrzenicy, bo dostanie spadek po ciotce.

— Tak?! Więc ten piękny obrazek ma jeszcze złote ramki? Teraz rozumiem! Panowie, patrzcie co za spryciarz z naszego Witka!... Ze wzburzonej fali wychodźczej chce wyłowić złotą rybkę... To obywatelka ziemska ta pani Wolska?

— Tak! Podobno nawet ma śliczną wieś, wartą pół miliona. Panna ma także jakiś folwark po rodzicach, a że ja jestem agronom, więc toby się doskonale składało.

Młodzieńcy wybuchnęli głośnym śmiechem.

— No, blaguj ty komu innemu swoją agronomią, nie nam! Wyobraźcie sobie naszego Witka, jako hreczkosieja, w czapeczce, w wysokich butach, na koniu! Ha! ha! ha! Witek, tam na rogu stoi koń fiakierski! — On się także śmieje...

— E! Wy to też jesteście... A niby od czego ekonomowie, rządcy, plenipotenci?! Jabym już sobie poradził.

— To się wie, żebyś sobie poradził! No, a z pieniędzmi, to już szczególnie prędko. Zatem, niech żyje bogata ciocia i piękna siostrzenica. A teraz chodźmy napić się czego na powodzenie przyszłego ożenku Witka! Takiej okazyi nie można opuścić! Witek funduje!... Jak mu zabraknie „hopów", to stary przyśle... Napiszesz, że ci na konkury potrzeba. No dalej, panowie! Pragę należy poznać do gruntu...

— Dobrze, zapłacę fundę, bo i tak oszczędziłem dzisiaj.

— Słyszycie! Witold oszczędził! A na czemże to, kochanku.

— A ten Potyrowski o mało nie naciągnął mnie na składkę w tem towarzystwie...

— Ten pan Potyrowski, to jakiś ptaszek!... Ale pal go sześć, dokąd idziemy?

— Do „Černeho pivovaru".

— Doskonale! Ta Marenka pyszna dziewczyna, mam nawet u niej kredyt.

— No, to walmy!

— A pamiętaj, Witek, po zaręczynach funda prima-prima!

— To się rozumie!

Młodzieńcy weszli do obszernej, dusznej, brudnej, zakopconej piwiarni. Goście wybijali kuflami takt ulubionej piosenki, którą grała muzyka:

„Och! pro radi Krista Pana
Ja sem dnésko oženil
Pošlu žinku na brambory,
Sam si lehnu do peřin".

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kwatery oficerskie.



Szósty pułk Legionów w polu: W okopie.

Z ziemi męczenników chełmskich.

Jeden z najtragiczniejszych rozdziałów w dziejach martyrologii polskiej pod zaborem rosyjskim stanowi niewątpliwie Chełmszczyzna. Tam barbarzyńskimi gwałtami usiłowano wytępić nietylko polskość, ale i religię, nahajkami „nawracając" unitów na prawosławie. Żandarm rosyjski i pop prawosławny podali sobie ręce — aby chełmskich i podlaskich unitów zakuć w kajdany prawosławia! Ale im większe były gwałty, tem silniejszym stawał się opór bohaterów, walczących w obronie swej narodowości i wiary... Nie pomogły nahajki i Sybir — rozpoczęte przed czterdziestu laty „nawracanie" na prawosławie ludu chełmskiego zaostrzyło tylko nienawiść do ciemiężycieli. Stwierdził to po dwudziestu latach „nawracania" główny inicyator tego



Wojna w Polsce; Zburzony rezerwoar wodociągowy w Kielcach

gwałtu, oberprokurator synodu Pobiedonoscew, w swym raporcie, złożonym carowi. „Oporni — pisał on — nie spowiadają się, nie chrzczą dzieci, nie zawierają ślubów cerkiewnych. Umarłych zaś grzebią własnowolnię. Zapomniawszy o obowiązkach wkładanych na nich przez religię, mają oni dusze zupełnie zatwardziałe. Z nieprawnie połączonych, nieochrzczonych rodziców rodzą się dzieci, pozostające również nieochrzczone. Względem prawosławia oporni zachowują się wrogo, unikają spotkań i rozmów z duchowieństwem prawosławnem. Wśród grup opornych tajna propaganda księży nie ustaje i odbywa się tajemne świadczenie posług duchownych i słuchanie spowiedzi".

Trudno chyba wyraźniej przyznać się do niepowodzenia. Rosya chciała zniszczyć unię, by zasilić prawosławie. Chciała przez sprawosławienie zmo-



Szósty pułk Legionów w polu: Budowa kwatery komendy pułku



Z ziemi męczenników chełmskich: Prawosławne mniszki przed klasztorem w Leśnej.





Budowa osłony przed granatami. **Szósty pułk Legionów w polu:** Budowa strzelnic w okopach.

skwiczyć kresowy polsko-rusiński lud. Osiągnęła skutek wprost przeciwny. Pchnęła ten lud do łacińskich kościołów, do polskiej narodowości.

O tem przekonano się z początkiem roku 1905, gdy po ukazie tolerancyjnym w pierwszym zaraz odruchu sto ośmdziesiąt tysięcy tego ludu, urzędownie za prawosławny i rosyjski uznanego, opowiedziało się za Kościołem rzymsko-katolickim, na „polską" przeszło wiarę. Gromady popów prawosławnych na Podlasiu i w Chełmszczyźnie osłupiały na widok takiego skutku ich działalności, a spokojnie i cicho do roku 1905 siedzący w Chełmie prawosławny episkop Eulogiusz popadł w ostry szał zapędów do przeciwdziałania wszelkimi środkami tej gromadnej dezercyi z jego przymuszonej owczarni.

Szybko uniemożliwiono korzystanie z ukazu tolerancyjnego, zatamowano rzekę, którą przelewały się wody do katolickiego morza, grożąc prawosławiu w tym kraju zupełnem wyschnięciem. Prześladowania księży katolickich, znęcanie się nad „opornymi" zaczęło się na nowo. Eulogiusz napędzał z jednej strony popów i czynowników do coraz większej gorliwości w „nawracaniu", z drugiej zaś wynalazł przeciw „polskiej intrydze" sposób, jak mu się zdawało, niezawodny: wyodrębnienie Chełmszczyzny i Podlasia z Królestwa Polskiego... Duma zaaprobowała ten nowy gwałt, który nie przyniósł jednak ani Rosyi, ani prawosławiu żadnej korzyści. „Gubernia chełmska" — nie mogła z fikcyi uczynić rzeczywistości, a dziś — po wypędzeniu stamtąd Rosyan pozostało tylko wspomnienie przebytych męczarń i siły ducha tego ludu, którego nie zdołała zdławić najbrutalniejsza przemoc. Na uświęconej męczeństwem polskich unitów ziemi chełmskiej i podlaskiej znikły dziś — za jednym zamachem ślady rosyjskości i prawosławia, narzuconego ludności przez czynowników i popów... Znikł również ośrodek tej agitacyi rosyjsko-prawosławnej, jakim był przez kilkadziesiąt lat „monastyr" w Leśnej, zagrabiony przed trzydziestu ośmiu laty klasztor katolicki. Po wypędzeniu stamtąd 7 pozostających w klasztorze O. O. Paulinów, kościół zamieniono na cerkiew, a do klasztoru sprowadzono prawosławne „monaszki". Jaką wagę przywiązywano do tej placówki prawosławia i rusyfikacyi, świadczy wymownie fakt, że ksienią rosyjskich „monaszek" w Leśnej była Eufemia, ciotka cara!...

Dziś skończyły się rządy wojującego prawosławia w Leśnej... Ci, co przemocą zagrabili tam kościół katolicki, musieli sromotnie uciekać zostawiając świątynię prawym właścicielom. — A trzeba tu zaznaczyć, że pierwsi wkroczyli do Leśnej Legioniści z kapitanem Śniadowskim na czele. Powitano ich też radośnie — jako zwiastunów wolności na zalanej krwią i łzami ziemi chełmskiej...

Jako wspomnienie z niedawnych a tak męczeńskich jej dziejów, zamieszczamy w dzisiejszym numerze kliszę, znalezioną w klasztorze w Leśnej po ucieczce Rosyan. Otrzymaliśmy ją dzięki uprzejmości oficera Legionów, p. I. Chełmeckiego, stacyonowanego w tamtej okolicy. Na fotografii widzimy prawosławne „monaszki" przed zagrabionym klasztorem w Leśnej.



Wojna w Polsce: Dworzec kolejowy w Kielcach po ustąpieniu Rosyan.





Szósty pułk Legionów w polu:

Okopy pierwszej kompanii. Kom. pułku Norwid, lekarz dr. Stopczański, ofic. ord. Jankowski i adjut. por. Jakubski.

Szósty pułk Legionów w polu.

Już dwadzieścia miesięcy upłynęło, jak nasi Legioniści wyruszyli w bój z odwiecznym wrogiem Polski. Dwadzieścia miesięcy ciągłych walk, od pierwszych potyczek w Królestwie Polskiem, przez długi okres kampanii karpackiej, aż do ostatnich walk na kresach ziem byłej rzeczypospolitej polskiej. Wszędzie, na wszystkich frontach Legiony polskie walczyły z jednakowem męstwem, roznosząc sławę oręża polskiego. Rzecz charakterystyczna, godna zaznaczenia, że wszystkie formacye Legionowe, nawet najmłodsze, nieraz dopiero w ogniu walki zapoznające się z rzemiosłem wojskowem, stanęły odrazu na wysokości zadania, nie ustępując w niczem swym starszym towarzyszom broni.

W licznych artykułach i fotografiach, zamieszczanych stale w numerach „Nowości Illustrowanych", zapoznawaliśmy czytelników z walkami i życiem wszystkich oddziałów legionowych na placu boju. Najobfitszego naturalnie materyału dostarczyły nam pułki Legionów, które pierwsze poszły w bój... Ale i później sformowane oddziały mają również chlubną i bogatą kartę w dziejach polskiego oręża. W dzisiejszym numerze zamieszczamy właśnie szereg fotografii z szóstego pułku Legionów, który zdołał się już zaznaczyć wybitnie na polu walki, czego dowodem liczne odznaczenia i pochwały naczelnej komendy. Na illustracyach tych widzimy, że i pod względem technicznych urządzeń w polu szósty pułk Legionów może być wzorem. Przekonują nas o tem fotografie, przedstawiające budowę i urządzenia rowów strzeleckich. Na jednej illustracyi widzimy budowę osłony przed granatami, opartej na wynikach doświadczeń obecnej wojny. Jest to grube belkowe rusztowanie, przykryte warstwą ziemi na trzy metry, a mieszczące wewnątrz wygodnie urządzone koszary. Nawet pociski ciężkiej artyleryi nie mogą zniszczyć tych podziemnych shronisk.

Inne fotografie dają pełny obraz życia na pozycyi szóstego pułku Legionów. Widzimy tam między innymi budowę strzelnic w rowach strzeleckich, kwatery oficerskie, raport pułkowy, cmentarz na pozycyi i t. p. Że nawet i na wojnie, w obliczu nieprzyjaciela — nie brak także rozrywek, wskazuje illustracya, przedstawiająca huśtawkę na pozycyi.



Szósty pułk Legionów w polu Reflektory na pozycyi.



Sport w Legionach: Krakowski szampion Legionista A. Derma (X) w zapasach z lwowskim sporstmenem Legionistą Sąsiadą

Uroczystość polska w Szwajcaryi.

Dnia 26 marca b. r. odbyło się w Zurychu staraniem polskiego Komitetu w Szwajcaryi odsłonięcie tablicy pamiątkowej na domu przy ulicy Majnau l. 56, w którym w roku 1878 zmarł przywódca polskiego mesyanizmu, Andrzej Towiański. Podczas odsłonięcia przemawiał poeta Jan Pietrzycki, oddając tablicę na własność i pod opiekę Muzeum polskiemu w Rapperswylu. Tablicę ufundowali Polacy, przebywający w Szwajcaryi.

Towiański — jak wiadomo — po opuszczeniu Paryża przeniósł się do Szwajcaryi i ostatnich lat życia dokonał w Zurychu. Na cmentarzu zurychskim jest jego grób pośród grobów jego uczniów.

Sport w Legionach.

Kataklizm dziejowy, którego widownią jest obecnie Europa, doprowadził normalne życie sportowe do upadku. Liczne rzesze sportowców i atletów, które przed wojną zapełniały liczne boiska spor-



Szósty pułk Legionów w polu Huśtawka na pozycyi



Szósty pułk Legionów w polu: Pułkownik Norwid odbiera raport pułkowy.



Uroczystość polska w Szwajcaryi: Odsłonięcie tablicy Towiańskiego w Zurychu. Przemówienie poety Jana Pietrzyckiego.



Obrazki wojenne: Sala chorych w pawilonie 17 szpitala wojennego w Bernie.



Wieczór pieśni staropolskiej: Leon Schiller

towe i sale ćwiczeń — obecnie, pod znakiem Marsa, nie zapominają również o dawnych swych ulubionych ćwiczeniach i kontynuują je w dalszym ciągu. Przykładem Niemcy, Francuzi i Anglicy. Matche footbalowe, rozgrywane na pozycyach przez żołnierzy, przy huku pękających szrapneli i granatów, są widowiskiem bardzo oryginalnem.

I nasi Legioniści oznaczają się również podobnym animuszem, więc każdy postój jest miejscem mniej lub więcej ciekawych zawodów sportowych i walk atletycznych. Na załączonej fotografii widzimy właśnie, jak znany lwowski sportsmen Leg. K. Sąsiada, oddaje się treningowi atletycznemu ze słynnym krakowskim szampionem, Leg. A. Dermą. Zaznaczyć wypada, że Leg. Ant. Derma w konkursie zapaśniczym w 1914 roku zdobył mistrzowstwo Europy. Obydwaj ci sportsmeni służą w 1. pułku artyleryi Legionów polskich.

Wieczór pieśni staropolskiej.

W piątek dnia 7 b. m. odbył się w sali Saskiej Wieczór pieśni staropolskiej. Głównym wykonawcą tego oryginalnego wieczoru był p. Leon Schiller, który jako śpiewak na modłę francuskich poetes-chansonniers śpiewał początkowo utwory swego pióra i własnej kompozycyi w najlepszym okresie warszawskiego „Momusa“. Po dłuższych studyach w Paryżu przerzucił się do wykonywania francuskich pieśni ludowych, obecnie zaś powtórzył ten eksperyment w bogatej dziedzinie naszego pieśniarstwa ludowego. Jako muzyk dał p. Schiller piosenkom ze swego repertuaru szatę stylową, zgodnie z duchem poezyi i epoki. W części deklamacyjnej poznaliśmy archaiczne dumy ludowe i gawędy szlacheckie w oryginalnej i głęboko odczutej interpretacyi p. Z. Modrzewskiej, artystki teatrów warszawskich. P. Zygmunt Dygat, młody i utalentowany pianista, odegrał suitę tańców staropolskich z XVI. i XVII. wieku oraz kilka mniej znanych polonezów księcia Michała Kleofasa Ogińskiego.



Wieczór pieśni staropolskiej: Z. Modrzewska.

Wieczór ten zainteresował wszystkich miłośników rzeczy polskich, bo pomijając ten urok osobliwy, jaki wywierają pamiątki czasów minionych, mają te pieśni wartość historyczno kulturalną, silnie bowiem malują życie epoki. I popłynęły z estrady piosenki sięgające schyłku XVII. wieku, aż do pierwszych dziesiątków XIX. wieku, śpiewane przy gitarach przez czułych zalotników, to znów przez szlachtę przy węgrzynie w obozie czy na łowach. Przemówili serdecznie a kunsztownie Fr. Dyonizy Kniaźnin i Fr. Karpiński. Wyjątki ze starych komedyo-oper i wodewilów Bogusławskiego, Dmuszewskiego, Godebskiego dopełniły programu.

Zajmujący ten koncert powtórzony będzie w całości w Białej i Zakopanem w pierwszej połowie kwietnia.



Obrazki wojenne: Chorzy, ranni i ich opiekunki w pawilonie 17 szpitala wojskowego w Bernie



Obrazki wojenne: Wojskowy oddział robotniczy 80 pułku na Węgrzech. 1) Komendant Soroczak, 2) rachunkowy podoficer Dalkiewicz.

MAXIME ANDONIN.

Tajemnica umarłego.

Tłumaczyła z francuskiego: MARYA SEGENY.

1

Dnia dwudziestego marca ubiegłego roku wsiadłem na okręt należący do Generalnego Towarzystwa międzynarodowego, pełniącego służbę regularną pomiędzy Saint-Nazaire a Ver-Cruz. Okręt ten nosił nazwę „Nawarra". Udawałem się do Meksyku, rodzinnego miasta mojej drogiej i nieodżałowanej matki, gdzie na mnie oczekiwał wuj mój, don Rubio. Zamierzałem stamtąd poprzez Meksyk i Stany Zjednoczone przedsięwziąć długą podróż, mająca na celu jedynie moją przyjemność i zaspokojenie głodu wrażeń.

Jednakże miałem się przekonać, że plany ludzkie bywają zazwyczaj kruche, uległe koniecznej a nieprzewidzianej fatalności.

Pierwszego wieczoru przy obiedzie przypadek dał mi za najbliższych sąsiadów, rodzinę, składającą się z trzech osób, które zwróciły szczególniejszą moją uwagę.

Jedna z nich zajęła mnie najsilniej.

Była to, jak się później dowiedziałem, młoda, dwudziestoletnia dziewczyna, Marya Louviers, Francuska, której towarzyszyła macocha, pani Dolores Louviers i brat jej, don Miguel Lopez.

Była średniego wzrostu, dobrze zbudowana, o twarzy pokrytej dziwną bladością, z której wyraz surowości i smutku nie schodził nigdy. Panna Louviers była ładną i posiadała ten rodzaj dyskretnego uroku, wypływającego z wewnętrznej mocy i promieniowania duszy skupionej w sobie. Gdy pierwszy raz oczy jej głębokie i przenikliwe spoczęły na mnie, uczułem dla niej silną i nagłą sympatyę. Nie przypuszczam, aby to miało być owe legendarne uderzenie piorunu.

W sympatyi mojej mieściło się wiele uczucia litości. Przeczuwałem, że musiała czuć się nieszczęśliwą, wnioskując to nie tylko z żałoby, jaką nosiła po świeżej stracie ojca, lecz z wyrazu ciemnych jej oczu. I pomimo, iż to wydać się mogło śmieszne, wyobrażałem sobie, że życie jej kryje w sobie jakąś ciężką tajemnicę. Czy może dlatego tak sądziłem, że i w mojem życiu była tajemnica, której dotąd odkryć nie mogłem?

W każdym razie przyczyniło się do tego przypuszczenia spostrzeżenie, że stosunek jej do rodziny był zimny, nacechowany przymusem i niechęcią wzajemną.

Widocznem było, że tych ludzi łączyła tylko nienawiść. Pani Lopez i jej brat uczynili od pierwszego wejrzenia na mnie niemiłe wrażenie. Ona, pomimo wybitnej piękności, w której było coś odpychającego, on zaś wyglądem swoim przypominał mi niebezpiecznych, a wytwornych bandytów salonowych, których nie brak w tym świecie, z którego pochodzili.

Nazajutrz rano miało miejsce drobne i nieznaczące może wydarzenie, które jednakże zaintrygowało mnie mocno.

Przed śniadaniem, kiedy zwiedzałem okręt i zeszedłem do dolnego korytarza pod pomostem, natknąłem się na jakąś pasażerkę niższej sfery, która na mój widok wydała lekki okrzyk i spiesznie uciekła.

Byłem trochę zdziwiony i zmieszany tą nieprzewidzianą paniką, gdyż nie pojmowałem, co w mojej postaci mogło wywołać taki przestrach w nieznajomej, a gdy następnie chciałem sobie uprzytomnić jej rysy, przypomniałem sobie, że gdzieś je już widziałem.

Nazajutrz i dni następnych manewrowałem w ten sposób, aby koniecznie spotkać moją nieznajomą, lecz wysiłki moje były bezskuteczne.

Dnia tego przy śniadaniu doznałem lekkiego zawodu. Moi sąsiedzi z obiadu zmienili miejsce.

Nie było w tem nic nadzwyczajnego, zmiana miejsca mogła być wywołana pragnieniem sympatyczniejszego sąsiedztwa, niż moje. Fakt taki bywa częsty w podróżach morskich. Każdy według upodobania czyni znajomości, powodowany chwilową sympatyą.

Ale z jakiej przyczyny obdarzony zostałem w przechodzie ostrem i nienawistnem spojrzeniem don Lopeza i jego siosty? Bo dotąd nie zdawali się zwracać na mnie najmniejszej uwagi.

Dlaczego obojętni dla mnie jeszcze wczoraj, dzisiaj przybierali wobec mnie stanowisko wrogów?

Postanowiłem wybadać służącego. Złota moneta, wsunięta mu do ręki, uczyniła go wymownym. Dowiedziałem się od niego, że zmiana miejsca nastąpiła za rozkazem senory Dolores, wydanym na kilka minut przed śniadaniem. Chcąc się przekonać, że rzeczywiście spec yalnie chodziło im o moją osobę, prosiłem służącego, aby nakrycie moje umieścił naprzeciw rodziny Louviers i z niecierpliwością oczekiwałem obiadowej godziny.

Próba ta udała mi się wyśmienicie i wiedziałem już, co myśleć mam w tym względzie. Gdyby w źrenicach moich przeciwników mógł się mieścić ogień wybuchający, byłbym trupem już po rozpoczęciu się obiadu. Widok mój najwidoczniej niepokoił ich i denerwował. Skoro więc przekonałem się, że uczuwali do mnie nienawiść jakąś, nie potrzebowałem więcej nasuwać im się na oczy i zaraz po obiedzie kazałem służącemu położyć moje nakrycie na dawnem miejscu.

Uśmiechnął się porozumiewająco z pewną dyskrecyą.

— Pan widocznie nie sympatyzuje z tą rodziną? — wyrzekł przyciszonym głosem.

— Z czego to wnosisz? — zapytałem zdziwiony.

— Pan to zaraz zrozumie — tłumaczył mi — kiedy mu oznajmię, że otrzymałem dziś od tych państwa takie same rozkazy.

To już było dosyć jasne, chciano mnie unikać koniecznie.

— W takim razie — odpowiedziałem spokojnie — pozostawisz nakrycie moje na tem samem miejscu.

Odszedłem silnie zaintrygowany. Cóż uczyniłem, aby wzbudzić w tych ludziach taką obrażającą mnie antypatyę? Przypuszczenia moje były jaknajromantyczniejsze. Może zdradziłem się z zainteresowaniem, jakie wzbudziła we mnie panna Louviers? Może wobec tego byłem przeszkodą do urzeczywistnienia jakichś planów jej dotyczących i macocha jej i wuj nie chcieli dopuścić do porozumienia się naszego? W każdym razie ostrożności te były przedwczesne, bo młoda dziewczyna, zagłębiona w swoim smutku, milcząca i dzika, obojętna na wszystko, co się wokoło niej działo, nie zauważyła może nawet mojego istnienia.

Jakiekolwiek były jednak powody mojego odsunięcia, musiałem je przyjąć i zrezygnować z zawar cia znajomości z sympatyczną moją sąsiadką.

Przekonałem się wkrótce, że rozciągnięto nad nią i nademną czujność nadzwyczajną. Chociaż don Lopez trawił większą część dnia na grę w pokera, donna Dolores, nieprzestając na chwilę flirtować z licznymi swoimi adoratorami, lub drażnić się z gromadą psów wleczonych za sobą, nie spuszczała z oka swojej przybranej córki, śledząc każde jej poruszenie.

Panna Louviers zaś, jak zawsze obojętna i milcząca, zdawała się nie spostrzegać tego nagłego nadzoru. Jednego ranka jednakże spostrzegłem ją na pokładzie, w miejscu już w pierwszych dniach przezemnie obranym, gdzie spędzałem długie godziny w zupełnej samotności i oddaleniu od zwykłego gwaru, panującego na parowcu. Chętnie zdążałem do tego ustronnego zakątka, skąd chłodzony ostrym, szerokim powiewem, obserwować mogłem nieustanne, monotonne i kołyszące przebiegi fal, piętrzące się niekiedy jak ruchome wzgórza, pokryte błyszczącą, śnieżną pianą. Zatrzymałem się o kilka kroków od panny Louviers, nie chcąc brutalnie przerywać jej zamyślenia, wpatrując się w nią z ciekawością. Ale jakiś ukryty szpieg odkrył widocznie moją obecność, gdyż niezadługo posłyszałem za sobą przyspieszone kroki na pomoście.

Odwróciłem się instynktownie i ujrzałem don Miguela. Staliśmy teraz naprzeciw siebie. Obrzuciwszy mnie wściekłem spojrzeniem, podszedł do siostrzenicy i rozkazał jej brutalnie powrócić do kabiny. Rozkaz ten surowy i niegrzeczny, oburzył mnie w najwyższym stopniu. Jeden znak, jedno słowo panny Louviers byłoby mnie upoważniło do ukarania tego wstrętnego grubianina, tak, jak na to zasługiwał. Ale młoda dziewczyna obojętnie wstała, wzruszając lekko ramionami i przeszła obok mnie, nie zdając się mnie spostrzegać. Jednakże ta obojętność, którą zachowywała wobec mnie, nie była naturalną. Przekonałem się o tem w parę dni później. Zaszła w niej bowiem względem mnie zmiana tak nagła, że naprożno męczyłem się nad odkryciem jej powodu. Od paru już godzin rozszalała się burza, która zmusiła wszystkich podróżnych do opuszczenia pokładu i schronienia się do salonu. Znajdowaliśmy się już tam od pewnego czasu, kiedy wbiegł młody człowiek, malarz, z którym zawiązałem serdeczne stosunki. On jeden, jak zawsze chciwy silnych wrażeń, pozostał ostatni na pokładzie i teraz stanął na progu, ociekający cały wodą i pianą, wołając na mnie donośnie:

— Fontaine! Chodź prędko, mój kochany, jeżeli chcesz być świadkiem niezwykłego widoku!

Stałem o kilka kroków od panny Louviers, cokolwiek za nią. Widziałem ją z profilu, z czołem pochylonem i zamyślonem, z wyrazem jakiegoś oderwania od otoczenia, widocznie zajęta ciężkiemi jakiemiś myślami.

Na dźwięk mojego nazwiska, podniosła szybko głowę i powiodła wokoło spojrzeniem, jak gdyby szukając, do kogo oneby odnosić się mogły i nagle w chwili, w której spojrzenia nasze zbiegły się ze sobą, powstała szybko z fotelu, chcąc podejść do mnie. Ale równocześnie senora Dolores z pobladłą, zmienioną twarzą, podbiegła do niej i pochwyciła konwulsyjnym ruchem jej ramię, zmuszając do pozostania na miejscu.

Było wprost niemożliwością nie zrozumieć impulsywnego ruchu panny Louviers i jej wymownego spojrzenia, pełnego zgrozy, zdumienia, wlepionego z natężeniem w twarz moją.

Pomiędzy obydwoma kobietami teraz wywiązał się krótki, urywany i przyciszony dyalog, ja zaś zwróciłem się do malarza, który pociągnął mnie za sobą na pokład, każąc zachwycać się jakimś widokiem, który przyznaję, pod tem wrażeniem, w jakiem byłem, nie mógł wzbudzić we mnie żadnego zainteresowania. Jeszcze wieczorem, przy obiedzie, nie mogłem się oprzeć dziwnemu uczuciu, które mnie ogarnęło.

A jednak był to tylko zawiązek dramatu, mającego się odegrać.

Kiedy powstałem od stołu, znalazłem się mimowoli w grupie, skoncentrowanej wymową starego, amerykańskiego senatora i nagle dobiegł mnie drżący, wymowny głos. Oh! nie omyliłem się przecież! To był głos panny Louviers. Dźwięki jego gorące, rozpaczliwe, w których brzmiała głęboka prośba, wstrząsnęły mną.

— Błagam pana! — mówiła panna Louviers — nie odwracaj się pan, nie zwracaj na mnie uwagi!... i choć niezwykły i śmiały wyda się panu mój krok, nie dziw się niczemu i wysłuchaj mnie! Rozmowa ta kosztuje mnie wiele, błagam pana, nie sądź mnie źle!... Jestem strzeżona i nie mam wyboru!... Gdyby pan wiedział...

Ciężkie westchnienie wydarło się z jej piersi.

Zdumiony, przejęty, a jednak pozornie spokojny, nie odwracając głowy, zapytałem cicho:

— O czem?

Milczała chwilę, wahając się.

— Czy pan naprawdę jest panem Fontaine? — wyrzekła wkońcu.

— Tak! — odpowiedziałem, zwracając głowę w inną stronę.

— Czy może jest pan krewnym — ciągnęła dalej, coraz słabszym głosem — bogatego przemysłowca paryskiego, zamordowanego dziewięć lat temu wraz z żoną?

Pytanie to spadło na mnie, jak grom. Chwilę stałem osłupiony, nie mogąc głosu wydobyć z piersi. Dobiegły mnie znowu słowa, wymówione ze wzruszeniem i niepokojem wzrastającem.

— Czy może się pomyliłam? W takim razie zechciej mi pan wybaczyć moją niezręczność.

— Nie pomyliła się pani! — zdołałem nareszcie z trudem wymówić. — Nie pomyliła się pani, niestety! Rzeczywiście dziewięć lat temu straciłem rodziców w okolicznościach tragicznych i tajemniczych. Dotąd tajemnica ta nie została odkryta. Czyżby pani mogła mi w tem dopomódz? dać wskazówki? W takim razie proszę mówić! Zachowam dla pani wdzięczność na całe życie!

— Tak, mam do wyjaśnienia panu pewien szczegół wielkiej ważności, wywiązując się tem samem z obietnicy danej ojcu mojemu w godzinie jego śmierci.

— Ojciec pani!? — zawołałem, przejęty zdumieniem i grozą.

— Cicho! nadchodzą! Ale — dodała spiesznie — ja muszę z panem mówić, muszę koniecznie. Jutro o siódmej, na pokładzie... tam w końcu... rozumie pan. A teraz niech się pan prędko oddali.

Poszedłem za jej rozkazem nieprzytomny, nie wiedząc czy śnię, czy też los naprawdę postawił na mojej drodze tę młodą dziewczynę, która miała mi dopomódz do rozwiązania tragicznej zagadki, męczącej mnie od tylu lat!

I w myśli raz jeszcze przeżyłem dramat ten straszny.

Jednego dnia, byłem wówczas piętnastoletnim chłopcem, dowiedziałem się, bez żadnych ogródek, od służącego o nieszczęściu, jakie mnie spotkało. Nad ranem znaleziono ojca mojego w swoim gabinecie uduszonego, przy pustej kasie ogniotrwałej — a matkę moją w buduarze, leżącą bez czucia na dywanie, trzymającą w zaciśniętej ręce flaszeczkę z trucizną. Zabójca chciał podsunąć myśl o samobójstwie. Pamiętam przybycie policyi, przebieg śledztwa, dom nasz pełny obcych ludzi, konfrontowanie służby, wyciąganie na jaw szczegółów domowego pożycia moich rodziców i rzucanie ich na

pastwę ciekawości brutalnej i publicznej — najście reporterów, węszących drastyczną tragedyę, tę straszną atmosferę skandalu, upokorzeń i ironicznych uśmiechów, które znosić musiałem.

Dochodzenia śledcze nie wykazały jednak nic realnego, błądziły czas jakiś w różnych przypuszczeniach fałszywych, których owocem było aresztowanie najniewinniejszego człowieka, urzędnika z biura handlowego mojego ojca, który z trudem zdołał oczyścić się z tego zarzutu. I pomimo, iż fakt zbrodni i kradzieży sam rzucał się w oczy, ośmielono się jeszcze, chwytając się różnych błahych przypuszczeń i niejasnych hipotez, rzucić cień na pamięć mojej matki.

Ojciec mój sam sobie zawdzięczał zdobyty ciężką pracą majątek. Był to człowiek surowy dla siebie i dla drugich, wychowany w twardej szkole życia, pomimo to jednak odnosił się do matki mojej z najwyższą delikatnością i szacunkiem. Matka moja była Meksykanką, wybitnej urody i również w chwili poznania mojego ojca, jak on majętna. Małżeństwo ich wyrosło na prawdziwej, wzajemnej miłości, opartej na zgodności charakterów i przekonań, a ja byłem najlepszym świadkiem ich harmonii i szczęśliwego pożycia. I nietylko cześć moja synowska obużała się głęboko dotknięta niecnemi insynuacyami, rzuconemi na pamięć mojej matki, ale i wiara moja dziecinna, zrodzona ze wspomnień najlepszych i widoku ciągłego uwielbienia wzajemnego, łączącego moich rodziców, była we mnie silniejsza niż wszelkie materyalne argumenta i podszepty.

Wierzyłem gorąco, że moja mądra i zacna matka ani na chwilę nie zeszła z drogi swoich obowiązków i uważałem za najstraszniejszą dla niej obelgę rzuconą na nią, podejrzenie jakoby sama w samobójczej śmierci szukać chciała kary i ucieczki przed wyrzutami dręczącego ją sumienia. Tych, którzy ośmielili się to twierdzić, uważałem odtąd za podłych i zbrodniczych oszczerców i potrafiłem im to spokojnie w oczy rzucić.

W chwili ostatniego pożegnania zwłok moich rodziców, zaprzysiągłem sobie pomścić uczynioną im zniewagę i oczyścić z tego hańbiącego cienia drogą ich pamięć.

Niestety, dotąd pomimo gorących poszukiwań i szczerych wysiłków, do tej pory nie zdołałem nawet uchylić rąbka otaczającej mnie tajemnicy. Po latach dziewięciu stałem na tem samem miejscu, co w dniu zamordowania moich rodziców.

I oto przypadek rozjątrzył ledwie zabliźnioną ranę, posyłając ku mnie tę nieznajomą, chcącą mi dobrowolnie „odkryć szczegół wielkiej ważności".

Jakie to słowa decydujące, nieodwołalne usłyszę od niej jutro? To, co zwierzyć mi chciała, odebrała jako spowiedź ostatnią umierającego ojca. Czegóż mogłem się spodziewać po tej okoliczności i jakiż może nowy ból gotuje mi ta rozmowa?

Przepędziłem noc straszną, bezsenną, dręczony wspomnieniami dni przeżytych i lękiem przed tem, czego dowiedzieć się miałem.

Już z pierwszym brzaskiem jutrzenki byłem na miejscu wyznaczonem mi przez pannę Louviers, wyczekując gorączkowo jej przyjścia, drżący od miotającej mną gorączki.

Nie przyszła.

Czekałem na nią aż do godziny śniadania, na które wzywał wszystkich donośny głos dzwonka. Czekałem napróżno.

Nie wiedząc, co myśleć o tem, zeszedłem do salonu. I tutaj spotkał mnie zawód, który starannie ukryć usiłowałem. Nie było panny Louviers w salonie. Miejsce jej, zajmowane pomiędzy donną Dolores a don Miguelem puste było. Zauważyłem, że oboje ironicznym uśmiechem przywitali moje wejście. Cały dzień szukałem jej po statku napróżno. Fotel jej na pokładzie zajęty był przez jakąś wstrętną, chudą angielkę. Byłem już zrezygnowany, że ujrzę ją dopiero może przy wylądowaniu.

Przypuszczałem bowiem, że podchwycono naszą wczorajszą rozmowę i że chcąc powstrzymać zwierzenia młodej dziewczyny, szkodliwe dla nich zapewne, don Miguel i jego siostra, powodowani ostrożnością, nie pozwolili jej wydalać się z kabiny. Ale w Vera-Cruz, bądź co bądź, będą zmuszeni powrócić jej wolność i wtedy skorzystam z tej chwili, gdybym miał godziny całe wyczekiwać w korytarzu. Byłem nawet zdecydowany na rozmówienie się stanowcze z jej opiekunami i nie wypuścić ich z ręki, aż otrzymam to zwierzenie tak ważne dla mnie.

Nazajutrz „Nawarra" zarzucała kotwicę w przystani hawańskiej.

Wszyscy pasażerowie, pragnąc zwiedzić miasto, zeszli się na pokład, oczekując chwili zejścia do czółen, nadpływających od brzegu. I ja tam również znalazłem się jeden z pierwszych. Jednakże nie chciałem się oddalić bez przekonania się o zamiarach rodziny Louviers, postanawiając przyłączyć się do niej choćby przemocą, w razie, gdyby donna Dolores zmusiła córkę do opuszczenia pokładu, lub też pozostając na parowcu z nią razem. Miałem bowiem nadzieję, że don Miguel zechce na parę godzin udać się na zwiedzenie miasta razem z siostrą, co dałoby mi możność rozmówienia się sam na sam z jego siostrzenicą. Usunąłem się w kąt zaciszny, skąd swobodnie mogłem obserwować przechodzących.

Nagle zadrżałem ze wzruszenia. Z pomostu schodziła senora Dolores z bratem, a pomiędzy niemi ujrzałem bladą i surową twarz panny Louviers. Lecz nie tylko jej widok poruszył mnie tak bardzo. Moja nieznajoma, spotkana raz przypadkowo pod galeryą pokładu, szła za nimi, trzymając na rękach dwa wstrętne, kudłate psiska.

Od dnia tamtego unikała mnie starannie i teraz zapewne nie domyślała się, że ją śledzę.

I naraz doznałem jakby olśnienia. Już teraz wiedziałem, że twarz tę gdzieś już widziałem — ale kiedy i w jakich okolicznościach?

W chwili, kiedy całe towarzystwo schodziło już do łodzi, podeszła do mnie panna służąca, zajęta na „Navarze" i podała mi zapieczętowaną kopertę, mówiąc:

— Pan Fontaine, nieprawdaż?

— Tak jest — odpowiedziałem.

— Oto list, który mi polecono doręczyć panu.

Zanim zdołałem zadać jej jakiekolwiek pytanie, prześlizgnęła się zręcznie przez tłum i zniknęła mi z oczu.

Szybko otworzyłem kopertę i znalazłem w niej kartkę, zawierającą tylko te słowa:

„O trzeciej pod kawiarnią Cristobal, przy fontannie. Proszę zniszczyć ten papier, jeżeli pan chce uniknąć wielkiego nieszczęścia".

Chociaż kartka nie nosiła podpisu, wiedziałem, od kogo pochodzi i kogo znajdę na wyznaczonem miejscu schadzki.

Kawiarnia Cristobal znajduje się po drugiej stronie budynków komory celnej, w dzielnicy nędznej i brudnej, gdzie koncentruje się najgorsza sfera mieszkańców Hawanny, istne piekło zepsucia i zbrodni.

Po wązkich, cuchnących uliczkach, przewija się tłum różnorodny i hałaśliwy; murzyni na pół nadzy, istoty w łachmanach, których narodowość trudnoby odgadnąć, wstrętni żebracy o zuchwałych twarzach, stare kobiety, trudniące się pobocznie tajemnym jakimś procederem, dzieci brudne i nędzne, natrętnie wyciągające ręce do przechodniów — a na tle tego ciemnego, odpychającego mrowiska, jaskrawą plamą odcinają się kolorowe suknie mulatek, przechadzających się wolno z wyzywającym uśmiechem na twarzach.

Przejęty byłem wstrętem i niesmakiem, a jednak za żadną cenę nie byłbym się wyrzekł tego spotkania. Odesłałem powóz i schroniłem się pod olbrzymim bukietem palm, ocieniających fontannę, oczekując z niepokojem przybycia panny Louviers.

Jednakże wkrótce, zamiast niej, podszedł do mnie młody człowiek, o dosyć sympatycznej powierzchowności. Ukłonił mi się grzecznie, pytając, czy to ja jestem tym senorem, który niedawno list otrzymał. Wyrażał się niewprawnie hiszpańskim językiem. Otrzymawszy moją twierdzącą odpowiedź, poprosił mnie, abym szedł za nim.

Nie przeczuwając nic złego, uczyniłem zadość jego prośbie.

Na progu jakiegoś domu o lepszym wyglądzie usunął się na bok robiąc mi przejście, poczem zamknął bramę i wskazał mi schody prowadzące na jedyne piętro, które wznosiło się w tym domu.

— Senor zechce łaskawie udać się na górę! — wyrzekł uprzejmie, uśmiechając się.

Ale zaledwie postawiłem nogę na pierwszym stopniu, kiedy nagle uczułem silne uderzenie zadane mi w plecy i upadłem, tracąc przytomność.

Tajemnica.

Kiedy powróciłem do świadomości, leżałem unieruchomiony bandażami na szpitalnem łóżku, do którego mnie przenieśli. Zapisany zostałem jako człowiek „nieznanego nazwiska". Z kieszeni mojego płaszcza zniknął bowiem portfel mój, zawierający papiery moje, a wraz z nim pieniądze i książeczka czekowa.

Powiedziano mi, że znaleziono mnie w sieni niezamieszkanego domu, broczącego w kałuży krwi. Pomiędzy łopatkami miałem ranę długości ośmnastu centymetrów, na szczęście nie bardzo głęboką. Musiałem upadając wydać krzyk, który zwabił sąsiadów, ci zaś zajawszy się mną, uratowali mnie zapewne od śmierci z upływu krwi.

Kiedy już byłem w możności mówienia, zarząd szpitala sprowadził do mnie urzędnika policyjnego. Wiedziałem dobrze komu zawdzięczam ten wypadek, ale nie chcąc niepokoić panny Louviers, obciążając don Lopeza, który najwidoczniej, wraz ze swoją siostrą, wciągnął mnie do tej zasadzki, zamilczałem o wszystkiem, podsuwając urzędnikowi przypuszczenie, że zapewne zostałem wzięty za kogo innego.

Policya kubańska nie jest tak obowiązkowa i ostrożna jak nasza, po kilku jeszcze formalnościach pozostawiono mnie w spokoju. Tego właśnie życzyłem sobie najgoręcej.

Wyszedłszy po jakimś czasie ze szpitala, osłabiony jeszcze bardzo i wyczerpany, znalazłem się w bardzo przykrem położeniu. Nie chodziło tu o pieniądze, gdyż na prośbę moją konsul francuski zniósł się z moim bankierem w Paryżu, który na ręce banku amerykańskiego przysłał mi większą sumę pieniężną — ale straciłem zupełnie ślad panny Louviers i jakże ją mogłem teraz odnaleźć?

Tyle czasu straciłem na próżno, a oprócz tego wiedziałem już teraz, że każdy mój krok będzie śledzony przez tych bandytów.

Dowiedziałem się przez biuro Generalnego Towarzystwa żeglugi, że podjęli dalej podróż swoją na pokładzie „Nawary" i przypuszczałem, że zaraz po wylądowaniu w Vera-Cruz dowiedzą się z dzienników, że zostałem tylko raniony i zechcą mnie dalej wobec tego faktu prześladować swoją opieką, tembardziej, że zaznajomić się również mogli z treścią mojego zeznania, z czego się przekonać musieli, że rozmyślnie nie wyjawiłem prawdy, aby mieć wolność samoistnego działania wobec nich. Mogłem więc przypuszczać, że przedsięwzięli ze swojej strony wszelkie środki ostrożności i tak ukryli swoją pupilkę, abym się z nią już nigdy spotkać nie mógł.

Gdzie więc ich szukać miałem? W którą stronę podążyć? Cóż wiedziałem o ich zamiarach, oprócz tego tylko, że udali się do Vera-Cruz? To było bez znaczenia, bo przecież z Vera Cruz mogli prosto udać się w głąb kraju, dosyć obszernego, aby zmylić wszelką pogoń za sobą!

A jednakże tylko w tem mieście mogłem pochwycić nitkę ciągnącej się dalej intrygi.

Postanowiwszy więc udać się do Vera Cruz, chciałem się tam dostać inną, nieprzewidzianą przez don Miguela drogą. Mógł on bowiem śledzić każdy okręt, przybywający do portu i pokrzyżować moje plany. Odpłynąłem zatem do Nowego Orleanu i stamtąd koleją przez San-Antonio, Saltillo, Meksyk stanąłem w Vera Cruz w miesiąc później po przybyciu moich przeciwników.

Wyszedłszy z wagonu, chciałem zasięgnąć informacyi u służby kolejowej, ale nie mogłem z nią dojść do porozumienia. Zrozpaczony i zniechęcony, myślałem już porzucić z konieczności sprawę całą, kiedy nagle doskonała myśl zabłysła mi w mózgu. Jakże mogłem zapomnieć o wstrętnych psach senory Dolores, z którymi nie rozłączała się nigdy?

Niemożliwością było, aby cała ta hałaśliwa psiarnia, ubrana w pstre kokardy i derki, przesunęła się niepostrzeżenie.

Podtrzymany tą nadzieją, znosząc mężnie tropikalne gorąco, wędrować zacząłem od hotelu do hotelu w poszukiwaniu senory Dolores i don Miguela.

Nareszcie po wielu nieudanych próbach, właściciel hotelu „Veracruzana" przypomniał sobie „panią z psami". Pani ta, zmęczona dłuższą morską przeprawą, zatrzymała się u niego z rodziną na dni kilka. Usłużny hotelarz pokazał mi nawet książkę wpisową. Były tam nazwiska pani Louviers i córki i don Miguela, ale owa towarzysząca im nieznajoma była tylko zapisana jako „panna służąca".

Hotelarz nie wiedział, w którą stronę udała się ta rodzina, lecz radził mi zapytać się o to posługaczy hotelowych, którzy transportowali kufry do kolei. Jeden z nich rzeczywiście, ku mojej wielkiej radości, objaśnił mnie, że odwoził bagaże „pani z psami" na dworzec południowy. Musieli zatem pojechać do Jalapy.

Na tej małej linii kolejowej przystanki są rzadkie. Udałem się na dworzec i wziąłem bilet do Jalapy na los szczęścia. W Pasos de Ovejas dowiedziałem się od jedynego znajdującego się tam urzędnika kolejowego, że rzeczywiście senora Dolores udała się do Jalapy. Pamiętał doskonale „tę piękną senorę, która go sowicie wynagrodziła za przyniesienie miski wody dla jej piesków".

W miasteczku tem właściciel omnibusów poinformował mnie z wielką godnością, że senor Louviers zaliczał się do najlepszych jego klientów.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Kobiety na wojnie: Uroczystość wręczenia złotego krzyża zasługi na wstędze medalu waleczności p. Genowefie Cerefinównie (X), uczenicy krakowskiej szkoły handlowej. (XX) Dyrektor Akademii handlowej radca Kannenberg.





Komendant 16 kompanii 57 p. p. (w płaszczu śniegowym) w okopach. **Z wojny:** Sztab 57 tarnowskiego pułku piechoty na wschodnim froncie.

Kronika tygodniowa.

Niestety, w miarę jak zbliżają się coraz bardziej Wielkanocne święta, przychodzę do przekonania, że stan mego zdrowia z dnia na dzień staje się coraz gorszym, a winna temu tylko wojna i jej następstwa.

O ile człowiek nie jest już zdenerwowany nową ewakuacyą, o której głosiła poczta pantoflowa, a czemu w swym komunikacie zaprzeczyła z urzędu Komenda twierdzy, co różnym gadatliwym osobnikom zamurowało, bodaj chwilowo, buzie, o tyle znów żołądek zaczyna wchodzić w grę, a wiadomo, iż jest on tym gospodarzem ciała ludzkiego, od którego wszystkie inne organa pozostają w zależności. Sądzę, że każdy miał to już nieraz sposobność sam na sobie stwierdzić. Zupełnie przecież inny humor ma człowiek, gdy sobie podje porządnie, a potem wyszlamuje kiszeczki dobrym pilznerkiem, niż ten, który zjadłby chętnie, ale nie ma za co!

Lubiłem pasyami dobry chleb żytni ze świeżem masełkiem, do tego plasterek (gruby na cal!... *przyp. zecera*) szyneczki, bo ja zawsze na małem przestawałem, dziś pozbawiony jestem tej przyjemności. Aby sobie na taki zbytek pozwolić, trzeba być albo kamienicznikiem, któremu lokatorzy płacą regularnie komorne, albo przynajmniej dostawcą. Niestety, ani jednym, ani drugim nie jestem i sam tego żałuję. Mam też pretensye do bociana, który mnie ongiś przyniósł, bo cóż mu szkodziło, gdyby się był pomylił w adresie i złożył mnie pod dachem jakiego milionera... Jeszcze co najwyżej mogę sobie od czasu do czasu pozwolić po wódeczce (zwykła żytniowa, tak zwany *creme de kartofel*, mały kieliszek trzydzieści halerzy!) na kromeczkę chleba i dwa kwargle (sztuka po dwanaście halerzy, wielkości guzika od kamizelki!...). Ale i to rzadko, bo przedewszystkiem chleb jest wcale nie dobry i więcej w nim ziemniaków, niż mąki.

Przypomniał mi się wierszyk natchnionego poety, który ongiś śpiewał:

„Idąc raz przez miasto,
Ujrzałem piękne ciasto,
Pytam się więc chłopaka:
„Czyja to robota taka?“
A on mi na to: „Piekarza!“...
No, no... Rzadko się zdarza!...“

Tak pisał ów wieszcz lat temu około trzydzieści, gdy mieliśmy chleb w porównaniu z dzisiejszym znakomity. Niechby tak teraz spróbował, zapłakałby z pewnością gorzkiemi łzami, zakitowałby sobie bowiem żołądek na dłuższy czas.

Ale na tem jeszcze nie koniec, bo na tapet przyjdzie jeszcze chleb z rumuńskiej, całkiem neutralnej mąki, na którą już teraz wszyscy narzekają...

Wobec tego trudno chyba być zdrowym, a jeśli się zdrowym nie jest, niema się i humoru, a bez niego trudno się zabierać do kroniki, zwłaszcza, gdy za uszami dźwięczy ci Weronisia:

— Dziś Kasia nie przyniosła mięsa!

Albo na odmianę:

— W sklepiku brakło soli! Niema także tłuszczów... Chciałam kupić bodaj „Ceresu“.

Mam na to odpowiedź jedną, ruszenie ramionami, ale to wszystko tak mnie gryzie i tak mi dokucza, że teraz uczę się ze złości na pamięć wszelkich nowych przepowiedni pokojowych. Najbardziej podobała mi się wróżba owego bankiera londyńskiego, który obiecał koniec wojny na 17 czerwca b. r., a na dowód, że mówi prawdę, sam umarł w oznaczonym przez się terminie. Przynajmniej nie będą mu ludzie robić wyrzutów, jeśli się pokaże, że się pomylił. Mniej już obiecującą jest druga, która koniec wojny zapowiada na stuletnią rocznicę śmierci Kościuszki, więc na rok 1917 dopiero, zakończenie zaś ostateczne rokowań pokojowych na rok 1921!

Ile ich jeszcze się pojawi, nie wiem, w każdym razie z obowiązku kronikarskiego postaram się o ich zanotowanie dla wiadomości swej i Szanownych Czytelników. Ilekroć w którejś gazecie spotkam się z podobną wzmianką, przyznam się szczerze, że uśmiecham się z początku z lekceważeniem, wkońcu jednak powiadam do siebie;

— A może!... A przecież!...

W ten sposób nabiera człowiek otuchy i osładza sobie bez cukru gorzki żywot.

Po tym wstępie, który jest może trochę za długi, ale to już nie z mojej winy... (najlepiej znów spędzić winę na wojnę!... *przyp. zecera*) przystępuję do właściwej kroniki, którą miałem zamiar zatytułować: "Strach ma wielkie oczy" czyli "Gdzie nieboszczyk?" Na tem tle możnaby nawet osnuć romans kryminalny w kilkunastu tomach z prologiem i epilogiem, zwłaszcza, że rzecz wzięta jest z życia codziennego i oparta na faktach z ubiegłego tygodnia.

Jest to także jednym z dowodów, w jaki sposób powstają u nas bajki i jak sprawnie funkcyonuje poczta pantoflowa, mająca jeszcze tę zaletę, że nie podlegająca cenzurze.

Otóż, zdarzyło się przed kilku dniami, iż pewien obywatel z Półwsia Zwierzynieckiego, samotny wdowiec, a do tego kamienicznik, zmuszony był okolicznościami wyjechać nagle z Krakowa i nie miał już czasu zawiadomić o tem swej posługaczki.

Gdy nazajutrz rano, według zwyczaju, zaczęła się do drzwi dobijać, a nikt się z wnętrza pokoju nie odzywał, ogarnęło ją złe przeczucie, a myślami swemi podzieliła się ze znajomemi niewiastami, które na tem tle zaczęły tworzyć najrozmaitsze, mniej lub więcej krwią ociekające przypuszczenia. Zrobiło się maleńkie zgromadzenie pod gołem niebem, uczestniczek zebrało się więcej, powtórzono pukanie, a gdy i ono pozostało bez skutku, postanowiono działać energicznie. Tymczasem zaś kobieciny rozbiegły się w różne strony, aby roznieść wiadomość, że prawdopodobnie popełniono straszne morderstwo na osobie samotnika.

W międzyczasie wystarano się o drabinę, po której posługaczka wywindowała się z trudem na balkon od ulicy, gdy natomiast gromada żądnych sensacyi Półwsianek z otwartemi ustami czekała rezultatu na dole.

Chwila ciszy i ogólnego naprężenia, kilkadziesiąt par oczu skierowanych na balkon, na którym posługaczka, z zachowaniem wszelkich wskazanych środków ostrożności, zbliża się do drzwi szklanych i bystry wzrok zapuszcza do wnętrza.

— Jest! Leży koło łóżka!... — wyrywa się z jej piersi głos przerażony, który dochodzi uszu zgromadzonych na ulicy. W tej chwili znów kilkanaście par nóg zostaje w ruch wprawionych i teraz rozchodzi się po Półwsiu wieść straszliwa, że popełniono morderstwo... Zawiadamiają o tem władze rządowe i autonomiczne, wzywają lekarza, a tymczasem w promieniu tysiąca metrów wiadome już szczegóły, w jaki ohydny sposób niecni mordercy znęcali się nad swą ofiarą.

— Wie pani Tomaszowa? Głowa ucięta leży pod piecem, reszta ciała pod łóżkiem... Cała ściana zbryzgana krwią... Brakuje prawej ręki, na której nieboszczyk nosił pierścionki. Widocznie, nie mogąc ich ściągnąć, zabrali ją łajdaki ze sobą...

— Szkoda biedaka! A taki był porządny człowiek! — dodaje druga kumoszka. — A jak pani myśli, kto go mógł zamordować?...

— Albo ja wiem?... Pewnie jakie anarchisty lub rewolucyonisty...

Rozmowę tę przerwało przybycie osób urzędowych. Zjawiła się policya, magistrat, lekarz, zatelefonowano nawet po „Aidę“ (pies policyjny) i przystąpiono do otwarcia mieszkania, przed którem tłum rósł coraz bardziej i zaczął nawet tamować ruch kołowy i tramwajowy na ulicy.

Ślusarz zrobił swoje, drzwi nie wytrzymały nacisku, komisya znalazła się we wnętrzu mieszkania...

I tu przedstawił się przybyłym straszny, grozą przejmujący widok... W pokoju ani żywej duszy, obok łóżka leżą trzewiki, a obok nich ...niewymowne, które spadły z krzesła obok stojącego.

— Ale gdzież w takim razie nieboszczyk, ofiara ohydnego mordu? — pytają się nawzajem członkowie komisyi, gdy lekarz urzędownie stwierdził, że w pozostawionem ubraniu nie tkwi ciało ani żywe, ani martwe.

— Może się nie mógł doczekać na komisyę — tłumaczy posługaczka — i wyszedł do miasta?...

Spisano protokół, mieszkanie zamknięto, po Półwsiu rozeszła się wieść, że zbrodniarze zwłoki swej ofiary unieśli ze sobą i prawdopodobnie, celem zatarcia śladów, wrzucili do Wisły. Znalazła się nawet jedna stara panna, która widziała wczesnym rankiem dwu bardzo podejrzanie wyglądających jegomości, niosących jakiś ciężar we worku i kierujących się w stronę Wisły. W tym też kierunku rozpoczęto dalsze, acz bezowocne poszukiwania.

Na Półwsiu nie mówiono jednak o niczem innem, gubiono się w domysłach, różne osoby pomawiając o popełnienie zbrodni, wobec czego w kilku domach z braku czasu nawet nie gotowano obiadu.

Późną nocą wrócił rzekomy nieboszczyk, nie wiedzący o niczem, do domu i można sobie wyobrazić jego przerażenie, gdy się dowiedział od stróżki, że dziś rano został zamordowany przez nieznanych sprawców, na których tropie są już władze. Poczciwa kobiecina, widząc go przed sobą, omal sama nie padła trupem, myśląc, że ma tylko ducha przed sobą, który wrócił do domu, bo coś zapomniał zabrać ze sobą na drogę wieczności...

Wreszcie wyjaśniło się wszystko, choć sąsiedzi z obok i z przeciwka jeszcze nie chcieli wierzyć, że morderstwa nie spełniono i jeden z nich pytał:

— Panie! Więc to pan na prawdę?... A nie myli się pan? Tamtego przecież zabili... Żona mi mówiła, widziała na własne oczy!

— Ale ja! Ja, we własnej swej osobie!...

— No, to dzięki Bogu! A tak pana żałowałem...

Z opisu tego tragicznego zajścia widzą Czytelnicy, jak na dłoni, w jaki sposób tworzą się u nas bajki i do jakich dochodzą potwornych kształtów. Wystarczyło posługaczce spostrzedz coś ciemnego na ziemi, orzekła, że to trup, a każdy, nie sprawdzając, w to uwierzył i niósł wieść dalej, dodając już z własnej fantazyi nowe szczegóły. A wiedzieć trzeba, że brały w tem udział i osobniki o nieco wyższej inteligencyi, nie tylko szary tłum.

A to samo, co na Półwsiu, dzieje się i gdzieindziej, nawet i w Śródmieściu, które pod względem fabrykacyi plotek nie ustępuje niczem gminom przyłączonym, owszem stara się je nawet prześcignąć.

Zdarzenie to jest zupełnie autentyczne, sprawdzone na miejscu przezemnie samego, że zaś mnie zajęło, nic też dziwnego, że dzielę się niem i z Czytelnikami, przepraszając Ich, że wobec tego głębiej w politykę nie sięgam, co się jednak tłumaczy brakiem miejsca. Obiecuję na przyszłość solennie poprawę! Już następna kronika, o ile coś nie stanie na przeszkodzie, będzie tak polityczną, iż niech się przed nią schowają w kąt wstępne artykuły pism codziennych, pisane przez pierwszorzędne nasze siły polityczno-dyplomatyczne, wiedząc już dziś nie tylko o tem, co było i jest, ale nawet co będzie i czego nie będzie!

A miałem zamiar zająć się przedewszystkiem owym „Krzykiem za dzieckiem“, który tak rozmaitem echem rozlega się na szpaltach „Kurjerka“ i daje sposobność różnym matkom i kandydatkom na matki (wyjątkowo zabierają głos i ojcowie) do wypowiedzenia swego zdania w tej kwestyi. Ja tam matką dotąd nie byłem i, sądzę, że już nie będę, chciałem przecież wygadać się na ten temat, aby pogodzić obie wojujące strony. Ale trudno. Brak miejsca stanął mi na przeszkodzie, boję się zresztą, bym nie odezwał się w złą godzinę, bo to dyabeł nie śpi, ale czyha na sposobność. A przyznam się, że nie życzę sobie wcale dalszego ciągu radości ojcowskich. Mam ich już tyle, że chętnie odstąpiłbym komuś bodaj połowę, ale amator jakoś się nie zgłasza.

Zagadki do nagrody.

Logogryf.
Ułożył J. Mycoń, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy, czytany z góry na dół, utworzy nazwę miasta hiszpańskiego.

□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —
□ — — — — —

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto we Włoszech 2. Kraj w Europie 3. Stolica Tybetu. 4 Imię męskie. 5 Część świata 6 Imię żeńskie. 7 Imię męskie 8 Miasto w Królestwie Polskiem. 9. Rzeka na Syberyi 10. Miasto w Galicyi Wschodniej.

Szarada.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Pierwsza-druga, obraz w nią się zwykle chowa,
Pierwsza-trzecia, morska ryba, dobra w soli,
Pierwsza-czwarta, gdy się skaleczysz, to boli,
Całość zaś ludów epos narodowa.

Łamigłówka.
Ułożył Józef Kupka z Bochni.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie.

— ara
o — da
— rau
e - il
— zor
r da
— ora
a — ka
— won
o — eg
— gor
o - et.

Zagadka.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Przez *s* to duży pokój, gdy w nim pary tańczą,
O mało się z podłogi wszystek wosk nie zetrze,
Przez *g* posiada kolor wspólny z pomarańczą,
A *b* znów w sobie mając przepływa powietrze.

Łamigłówka literacka.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Wyszukać dzieła podanych autorów. Początkowe ich litery utworzą nazwisko polskiego malarza.

Kochanowski?
Korzeniowski?
Kraszewski?
Ibsen?
Dumas?
Chęciński?
Głowacki?
Bliziński?

Zadanie konikowe.
Ułożył A. Marczyński. Kraków.

bie	cze	nad	szu	o	lem i
ni	u	so	pła	ba	sklej
dzi	po	czę	mi	kody	czy
fe	lem	ki	ro	zwa	zo
ja	sie	s ek	kro	nie	u
ta	Mor	chaj	sen	czy	ny

Trójkąt magiczny.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Kwadraty i kreski zastąpić odpowiedniemi literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko polskiego kaznodziei.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz 2 Inaczej zamiar 3 Miasteczko w Galicyi Wschodniej. 4 Dopływ Obi 5 Gatunek zboża 6. Napój. 7. Członek rodziny. 8. Przysłówek. 9. Samogłoska.

Zadanie do przestawiania.
Ułożył K. Kowalski, Wiedeń.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Żeneścia N. gotuje mięso i łaje Zenona G. Cyz Z.

Bilety wizytowe.
Ułożył Szczerbiec z Wawelu.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód, poszczególnych osób.

ROB. SZ. CZOP.

UZYWARSKI.

MAR. R. KACZKA

ZARAT SZELM.

ABEL BIRTOZKI.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Illustrowany kalendarz pamiątkowy „Nowości" na r. 1916.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Logogryf:

P
l u b
n a e y a
P o d h a l e
P u c h a l a k i
W i ś l i c a
k a s t a
o k o
i
a
e t a
g r a c a
Ł o m n i c a
S t a n i s ł a w
k o r s a r z
K a ł k a
g a j
w

Szarada Ospa.

Przysłowiówka: Kto zadziera nos do góry, pokazuje w nosie dziury.

Logogryf:

A b e l
U r a n
G r a d
U s t a
S k o p
T u j a
C y n k
I r y d
E l ż a
S a n i
S e r o
K a d m
O r O t
W i ą z
S o i o
K o c z
I d z i

Zadanie do przestawienia: Złej tanecznicy fartuszek zawadza.

Grzebieniówka:

K r z y ż a n o w s k i A.
n e e e a o m
s ł r k l z n
m a o r k i e
a n m o i ó s
n d s ł r w t
e y k o y k y
k a i g a a a

Zadanie do przestawienia: Rób swoje, o resztę nie pytaj.

Bilety wizytowe Brygadyer piechoty. Nadprokurator. Generał zbrojmistrz. Nadporucznik Leśniczy.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: F. Horak Oświęcim, W. Rachwalski Bochnia, K. Ciesielski Poznań, S. Galiński Nowy Sącz, J. Rogalski Radłów, S. Krzyżanowski Podgórze, H. Radziński Sucha, J. Broda Kraków. M. Planecka Kraków, F. Gebhardt Kraków, J. Niemojewski Zakopane, S. Karczmarski Poddębie, M. Klappholz Praga, J. Strojek Podgórze, W. Bogusz Zabierzów, A. Gross Kraków, J. Szewioł Prądnik, S. Ramza Wieliczka, M. Bański Liszki. J. Jakubowska Kraków, J. Wilczkiewicz Wiedeń, D. Sedyńska Zakopane, J. Kopczyńska Bierzanów, R. Knapik Kraków, W. Świrski Zakopane, Z. Rogozińska Kraków, S. Medyński Zakopane, J. Krawecki Bochnia, Cz. Lipiński Zakopane, M. Domagalska Kraków, J. Łopatkiewicz Wiedeń, Jan Górka Kraków, J. Ciszewski Peszt, W. Błoński Kraków, J Buczyński Kraków, J. Jahoda Cieszyn, M. Sperling Wiedeń, W. Kadulska Kraków, W. Krzywicki Praga K. Reichenberg Cieszyn, W. Potocka Kraków, S. Kalinowska Podłęże, T. Nikiel Chrzanów, A. Bandrowski Zakopane, K. Leszczyński Wiedeń, E. Laskowski Jordanów, T. Rzepecki Poznań, S Kamocki Wiedeń, H. Ungar Wiedeń, R. Sadowski Kraków, J. Czarkowski Poznań, J. Gramski Wadowice, S. Sokołowski Kraków, K. Błachowski Kraków, K. Zegartowska Bogucice, H. Obst Praga, I. Brzostowski Chrzanów, E Winter Stanisławów, W. Styczyńska Kraków, R. Królicki Krościenko n. D

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Buczyński, Kraków.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Pojętny chłopak.

Pan inspektor hospituje w trzeciej klasie normalnej nauką języka niemieckiego. Pomiędzy uczniami jest i jego siostrzeniec, który, jak przystoi dla kuzyna tak wielkiego dygnitarza, siedzi naturalnie w pierwszej ławce i cieszy się ogromnymi względami tak pana dyrektora, jak i całego grona nauczycielskiego.

Rozpoczęło się egzaminowanie, sam pan inspektor pyta chłopców.

— Jak powiesz po niemiecku żona?

— *Die Frau!* — odpowiada zagadnięty.

— Dobrze! Teraz sąsiad niech mi powie to samo, ale z rodzajnikiem nieokreślnym.

— *Eine Frau!* — brzmi odpowiedź.

— Doskonale! A jakże się będzie nazywać „moja żona"?... Sąsiad!...

Kolej wypadła właśnie na siostrzeńca pana inspektora, który powstał z rozjaśnionem obliczem, że przecież raz uda mu się trafnie odpowiedzieć i rzekł:

— Ciocia Kasia!...

Nieporozumienie.

— Więc pański wuj jest rzeczywiście tak ciężko chory?...

— Tak!... Lekarze powiadają, że niema już żadnej nadziei!... Jestem na wszystko przygotowany.

— Na wszystko?... A ja byłem pewny, że pan po nim dostanie tylko połowę, a brat połowę...

Potrzebny zaraz

trawiacz

do

Nowości Illustrowanych.

Potrzebny służący biurowy

do

Nowości Illustrowanych.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego